

WSZYSCY DO URN WYBORCZYCH!

# ODGŁOSY



12 (748)  
19. III. 1972 r.  
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

## MOJA ROLA W SEJMIE

Redakcja „ODGŁOSÓW” zwróciła się do kandydatów na posłów do Sejmu PRL VI kadencji: BOLESŁAWA KOPERSKIEGO – I sekretarza Komitetu Łódzkiego PZPR, Prof. dr MIECZYSLAWA SERWIŃSKIEGO – Rektora Politechniki Łódzkiej i MONIKI SZCZEŚNIAK – prządkę w ZPB im. F. Dzierżyńskiego, z prośbą o udzielenie odpowiedzi na pytania, dotyczące roli Sejmu oraz ich zadań, jako przyszłych posłów.

### BOLESŁAW KOPERSKI

I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR

**PYTANIE:** – Jak Towarzysz Sekretarz widzi rolę przyszłego Sejmu w obecnych warunkach społeczno-politycznych, określonych Uchwałą VI Zjazdu PZPR?

**ODPOWIEDZ:** – Kandydowanie na posła VI kadencji Sejmu jest szczególnie zobowiązujące. Wynika to z faktu, iż w roku 1971 nastąpiła aktywizacja naszego Sejmu, aktywizacja, powiedzialbym, narastająca, co wynika z zadań, jakie przed nami postawił VI Zjazd PZPR. Aktywizacja Sejmu, to wynik uchwał VII i VIII Plenum KC PZPR Uchwały VI Zjazdu partii, przyjęte jako platforma wyborcza Frontu Jedności Narodu, stały się właściwie programem o zasięgu ogólnonarodowym, partyjnych i bezpartyjnych.

Wynika to z faktu, iż program ten jest śmiały, ambitny, że najważniejsze w programie są sprawy człowieka z jego szeroko rozumianymi potrzebami materialnymi i kulturalnymi. Fakt ten nakłada na przyszły Sejm odpowiedzialność szczególną.

Aby realizować przyjęty program, potrzebna jest wzrastająca aktywność całego społeczeństwa. Jestem przekonany, że Sejm, jako najwyższe forum naszego życia publicznego, może odegrać tutaj dużą rolę.

Ustawy podejmowane przez Sejm, służące rozwojowi gospodarczemu kraju, służące wzrostowi państwowości, służące walce z biurokracją, mogą i będą przyczyniać się bezpośrednio do lepszego funkcjonowania naszego życia, naszej gospodarki, będą też siłą mobilizującą naszą społeczność do lepszej pracy. Ludzie, widząc porządek, sprawiedliwość, dążenie do lepszego, pracują lepiej, ofiarniej, wydajniej. A przecież o to, co wyżej powiedziałem, wszystkim nam chodzi.

Dalszy ciąg na str. 3



Fot. E. Kudaj

BOGDAN GRZEŁOŃSKI

## Prezydentura na dwustulecie?

W dwa lata po zakończeniu II wojny światowej pięćdziesięciu pięciu amerykańskich profesorów historii uszeregowano prezydentów swego kraju według ich wielkości. Lista przedstawia się następująco: 1. Abraham Lincoln, 2. George Washington, 3. Franklin D. Roosevelt, 4. Woodrow Wilson, 5. Thomas Jefferson, 6. Andrew Jackson. W dalszej kolejności uszeregowano tzw. „prawie wielkich”: 7. Theodore Roosevelt, 8. Crover Cleveland, 9. John Adams, 10. James K. Polk.

Ta hierarchia wielkości została wkrótce potem potwierdzona w sondażu Gallupa z dnia 25 sierpnia 1957 roku.

Obecnie Richard Nixon kończy pierwszą kadencję swojej prezydentury. Czy zatem przyniesie mu ona prawo ubiegania się do panteonu wielkich, a jeżeli nie wielkich, to przynajmniej „prawie” wielkich, czy też to będzie tylko jego jedyna kadencja w Białym Domu?

Portrety z lamusa?

Polityczna kariera Richarda Nixona zaczęła się typowo według amerykańskich wzorców politycznych. W 1945 r. wrócił z wojny w stopniu pułkownika marynarki wojennej i rozglądał się za stanowiskiem. „Powrót do pracy w Office of Price Administration wydawał mu się zmarnowaniem przyszłości” – pisze jego biograf Toledano. I wybawienie przyszło samo. Do nadchodzących w 1948 roku wyborów do Kongresu partia republikańska w Los Angeles poszukiwała kandydata. Jeden z bossów, znający Nixona z okresu pracy w biurach prawniczych na terenie Kalifornii, zarekomendował go. Przesłuchanie przez komitet wyborczy wypadło pomyślnie, Nixon stanął do walki o miejsce w Izbie Reprezentantów. Dalsza jego kariera jest znana. Po ka-

Dalszy ciąg na str. 4





### Moskwa - Warszawa - Bonn

## Poparcie dla polityki rządu

„DEUTSCHE VOLKSZEITUNG” — DUESSELDORF

Przedstawiciele CDU i CSU w Bundsracie wypowiedzieli się przeciwko ratyfikacji porozumień, zawartych w Moskwie i w Warszawie, a organizacje pracownicze zorganizowały nawet marsz na Bonn, by zademonstrować swój stosunek do tych obu porozumień. W odpowiedzi na tę akcję, mieszkańcy stolicy NRF, należący do przeróżnych partii i różnych orientacji politycznych, zwrócili się do społeczeństwa zachodniemieckiego z apelem, w którym czytamy m. in.: „Występując przeciwko ratyfikacji, frakcja CDU-CSU oraz inni posłowie przeszkadzają w ogólnoeuropejskim uregulowaniu

problemów pokojowych i należą do grupy bankrutów politycznych. Debata nad ratyfikacją zawartych porozumień wykazała niedwuznacznie, iż politykę rządu popiera przynajmniej większość społeczeństwa. Żądania rewizji granic już dwa razy pchnęły Niemcy na drogę wojny”. Inicjatorzy apelu opowiadają się za ratyfikacją i wprowadzeniem w życie porozumień, zawartych w Moskwie i Warszawie, za zwołaniem ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa już w 1972 roku, a także za przyjęciem NRF i NRD do Organizacji Narodów Zjednoczonych i jej agend.

## „...To dążenie jest korzystne i dla nas”

AGENCJA DPA — BONN

Występując w Bundestagu, kanclerz NRF, Willy Brandt, powiedział, iż rząd federalny nadal nie będzie szczydził sił, by rozładowanie napięcia nie ominęło Zachodnich Niemiec. Mając na względzie porozumienie między Wschodem i Zachodem, cała rzecz polega teraz na tym, żeby — nie tuszując zasadniczych rozbieżności — kontrowersje zastąpić wzajemnym zrozumieniem odnośnie tych problemów, które są praktycznie możliwe do rozwiązania. „Politycznie odpowiedzialne kółka na Zachodzie i Wschodzie stawiają przed sobą właśnie to zadanie. Nie możemy uchylić się od tego — podkreślił kanclerz. — Oczekuje się od obu państw niemieckich, że wniosą one swój wkład w dzieło bezpieczeństwa i współpracy w Europie”.

Przedkładając do rozpatrzenia w Bundestagu projekty porozumień z Moskwą i z Warszawą, minister spraw zagranicznych, Scheel, powiedział o konieczności uznania realizmu w imię zachowania pokoju. Minister spraw zagranicznych po wyrażeniu ubolewania, że opozycja uparcie stoi na stanowisku „nie”, wskazał, że porozumienia wytrzymały już pomyślnie pierwszą próbę: „Bez nich nie byłoby porozumienia w sprawie (Zachodniego) Berlina”.

Rząd federalny, jak wyraził się Scheel, miałby sobie

wiele do wyrzucenia, gdyby nie zwrócił uwagi na ewentualne następstwa w razie odrzucenia porozumień.

Rozładowanie napięcia i współpraca są niezbędne — powiedział Scheel. Jednakże rozładowanie napięcia i współpraca nie mogą się odbyć bez wyrzeczenia się użycia siły, bez wyraźnego i bezwarunkowego przyjęcia status quo. Porozumienia z krajami Wschodniej Europy, które scharakteryzował Scheel jako „jądro pokojowej współpracy między Wschodem i Zachodem oraz bezpieczeństwa w Europie” stworzyły przesłanki — nie bacząc na nierozwiązane jeszcze problemy — do politycznego dialogu ze Wschodem.

„Związek Radziecki nie daje nam prezentów, ale my nie oczekiwaliśmy na prezenty” — podkreślił Scheel. Jednakże Moskwa dąży do likwidacji ustawicznych ognisk kryzysów w Środkowej Europie. „To, co warunkuje to dążenie, jest korzystne i dla nas”.

„Kto sądzi, że może sobie pozwolić na rezygnację z uregulowania stosunków ze Związkiem Radzieckim, ten musi nam powiedzieć, jak i z kim zamierza rozmawiać o polepszeniu klimatu politycznego w Środkowej Europie!” — wykrzyknął minister wśród burzliwej owacji posłów partii koalicji rządowej.

## Po wizycie Nixona

„FRANCE NOUVELLE” — PARYŻ

Przyjeżdżającego do Chin uderza niewiarogodne mnóstwo hasel, sformułowanych przez Mao Tse-tunga. Są wszędzie: na lotniskach i na dworcach kolejowych, na placach i ulicach, na ścianach i dachach domów, wzdłuż brzegów Jangcy i wzdłuż Wielkiej Ściany, w fabrykach i komunach, w szkołach i w szpitalach, a nawet w ogrodzie zoologicznym w Kantonie. W czasie pracy radio ogłasza ludzi komentujących w duchu „idei Mao Tse-tunga”. Kult jednostki

na nieprawdopodobną skalę. W ten sposób, rozdytą aparat propagandy poddaje nieustannej „obróbce” z górą 700 milionów Chińczyków, od wybrzeży Oceanu Spokojnego, aż po Tybet i Sinciang, apoteozując człowieka, który stał się bóstwem.

My, członkowie delegacji komisji spraw zagranicznych Francuskiego Zgromadzenia Narodowego, nie widzieliśmy się z Mao Tse-tungiem, ale przyjął nas Czou En-laj, posunięty już w latach, szczerzejszy niż kiedyś, w prostym

szarym ubraniu ze sztywnym kołnierzykiem.

Czego należy oczekiwać po wizycie Nixona? Trudno coś o tym powiedzieć — mówi Czou En-laj — natomiast należy stwierdzić, że w świetle zaszyły i zachodzą wielkie zmiany.

Rozmowa staje się bardziej konkretna, gdy schodzi na problemy Indochin i Związku Radzieckiego. Władcy przeciw, że komunikat o podróży Nixona do Pekinu zaniepokoił narody i przywódców krajów indochińskich, walczących przeciwko amerykańskiej agresji. Czou En-laj złożył w tej sprawie oficjalne zapewnienie Pham Van Dongowi. Powtarza je nam.

Podczas, gdy Czou En-laj mówi, myślę o Bangla Desz. Naród — męczennik, który zaledwie kilka miesięcy temu walczył o swą fizyczną egzystencję i o swoje prawa do niepodległości. Przywódca Pekinu stanął obiektywnie po stronie Nixona i jego VII floty. Po powrocie z mojej podróży do Chin, uczestniczyłem w manifestacji, która odbyła się w Paryżu, po zakończeniu Światowej Konferencji o Pokój i Niepodległość Narodów Indochin. Brali w niej udział przedstawiciele 84 krajów. Ale Chińczyków tam nie było.

I wreszcie — jakże tego nie odnotować — że Kissinger jest jednocześnie i tym, kto szczegółowo opracował program podróży Nixona do Pekinu, i autorem „pokojowego planu dla Wietnamu”, opublikowanego w Waszyngtonie w formie swego rodzaju preludeum do rozmów chińsko-amerykańskich. Dlatego „przyjmujemy do wiadomości zapewnienia Czou En-laja”, ale zachowujemy czujność.

A Związek Radziecki? Rozbieżności między Chinami a ZSRR są bardzo poważne — mówi Czou En-laj, obruszając się też na to, co nazywa „dążeniem Związku Radzieckiego do hegemonii”. Ponieważ ZSRR zdecydował się na szereg posunięć, zapewniających bezpieczeństwo jego dalekowschodnich rubliży (w pełni usprawiedliwionych, jeśli przypomnieć o incydentach nad rzeką Ussuri), Czou En-laj twierdzi, że Chinom grozi niebezpieczeństwo. Jest niezbędne, mówi on, skończyć z dwoma supermocarstwami i zlikwidować ich jądrowy monopol.

Antyradzieckość przejawia się nie tylko w oficjalnych oświadczeniach Mao, Czou En-laja i innych przywódców chińskich. Oficjalna propaganda chińska lansuje myśl, że Chiny są okrążone przez Związek Radziecki: na północy — bezpośrednio jego armia, na południu — w wyniku podpisania układu radziecko-indyjskiego i pojawienia się Bangla Desz, na wschodzie — dlatego, że ZSRR proponuje Japonii podpisanie traktatu pokojowego i rozszerzenie współpracy między obu krajami.

W Chinach walka przeciwko „dwóm supermocarstwom” jest nadal sloganem; w rzeczywistości walka przeciwko rzekomemu zagrożeniu radzieckim przesłoniła walkę przeciwko amerykańskiemu imperializmowi.

Przedstawiciel amerykańskiego imperializmu złożył wizytę w Pekinie. On do-

skonał wie o tych zażartych antyradzieckich nastrojach, rozdmuchiwanych wśród Chińczyków, aby nie pamiętali, co zrobił Związek Radziecki dla ich oswobodzenia, odrodzenia, a nawet fizycznego istnienia. Kiedy podczas rozmowy z nami Czou En-laj napadał na Związek Radziecki, miałem przed oczami Wietnam, Kambodżę, Laos, kraje, które z bronią w ręku walczą przeciwko USA. Jest to możliwe tylko dzięki pełnej pomocy i poparciu Związku Radzieckiego. I jeśli Hanoi i Hajfong są zdolne do odpięcia nalożonych bombowych amerykańskich fortec B-52, to tylko dlatego, że armia wietnamska otrzymała myśliwce „Mig” i rakiety, które chronią oba te wielkie miasta przed zniszczeniem.

Jeśliby Chiny nie naruszyły jedności obozu socjalistycznego, nie zadaly ciosów międzynarodowemu ruchowi komunistycznemu, Indochiny — ten tragiczny męczennik — odzyskałyby już niepodległość. Antyradzieckość — od kogo by ona nie wyszła — zawsze służyła imperializmowi.

Przywódcy Pekinu liczą z pewnością na to, że podróży Nixona, osłabiając napięcie w stosunkach między Chinami a Ameryką, ułatwi im walkę z polityką Związku Radzieckiego. Najprawdopodobniej Nixon myśli o tym samym, ale z punktu widzenia amerykańskiego imperializmu. Takie tendencje ujawniły się już w ONZ, zwłaszcza podczas głosowania w sprawie konfliktu we Wschodnim Pakistanie, kiedy Chińczycy i Amerykanie działali faktycznie ręką w rękę.

Chiny, powiedział Czou En-laj, to kraj słaby i nigdy nie będzie miał aspiracji do zostania „supermocarstwem”. Wśród tych, którzy wiedzą, jaką rolę odgrywały chińskie ambasadory w wielu krajach, które dopiero co wyzwały się z pęt kolonializmu, podobne oświadczenia wywołują drwiące uśmiešky. Za tą fasadą kryje się dążenie przywódców Pekinu do odegrania, jeśli się tylko uda, roli lidera „trzeciego świata”. Nawet jeżeli w tym celu trzeba przeciwstawić rządowi narodowi, jak to miało miejsce w Sudanie, w lipcu 1971 roku. Zaczynamy to także obserwowac w niektórych krajach azjatyckich.

A europejska polityka chińskich przywódców?

Rząd chiński, jak wiadomo, jest zadowolony z przystąpienia Anglii do Wspólnego Rynku. Podczas gdy kraje Wspólnego Rynku, wszystkie co do jednego, są członkami Paktu Atlantyckiego, kierowanego przez USA, Pekin widzi w malej Europie przejaw „dążenia do uniezależnienia się” od supermocarstw. Pekin sprzeciwia się zwołaniu konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie, twierdząc, iż nie jest to wyrazem dążeń narodów europejskich, lecz manewrem polityki radzieckiej.

Wszystkie te fakty wyjaśniają niepokój, który wywołała, wśród przyjaźni narodu chińskiego, podróży Nixona do Pekinu, zbliżenie amerykańskiego imperializmu z maolistowskim nacjonalizmem.

W Stanach Zjednoczonych rozpoczęła się walka o fotel prezydencki. W ub. tygodniu w New Hampshire, a w bieżącym na Florydzie odbyły się tzw. wybory wstępne — primaries. Na tym etapie kampanii wyborczej kandydaci rywalizują między sobą w poszczególnych stanach, aby zdobyć jak największą liczbę delegatów na ogólnokrajowe konwencje. Tam bowiem dokonuje się nominacji kandydatów w imieniu poszczególnych partii. Tak więc wybory wstępne są rozgrywkami, toczącymi się wewnątrz partii republikańskiej i demokratycznej. W bieżącym roku uwaga koncentrować się będzie na wyborach wstępnych w partii demokratycznej, której kandydaci nie są jeszcze znani. Republikańska natomiast z pewnością nie odmówi poparcia Nixonowi.

Wyborami wstępnymi w New Hampshire rozpoczął się więc sezon wyborczy, którego pierwszy etap trwa do czerwca. Jako że wybory wstępne odbywają się w 27 stanach — ta faza batalii ma charakter niemal ogólnokrajowej kampanii.

### Co przyniosła premiera?

69 proc. głosów uzyskał Nixon, pozostałe rozłożyły się na Ashbrooka i McCloskeya. Kiedy rzecznik Białego Domu na konferencji prasowej oświadczył, iż prezydent jest zadowolony z poparcia, jakie uzyskał od wyborców republikańskich, dziennikarze zareagowali falą śmiechu. Powszechnie oczekiwano bowiem wyższego procentu.

Ciekawiej rozłożyły się głosy wyborców demokratycznych. Senator Muskie otrzymał tylko 48 proc., natomiast zaskakująco dużo, bo aż 37 proc., McGovern. Nie biorący udziału w primaries inni rywale Muskiego: Humphrey i Jackson uznali fakt, iż nie otrzymał on nawet 50 proc., głosów jako wyraźną porażkę, która może ważyć na nominacji. To jednak głównie uzależnione jest od wyników na Florydzie, których w chwili przygotowywania komentarza do druku jeszcze nie znamy.

Okres przedwyborczy w Stanach Zjednoczonych ma zazwyczaj wpływ na politykę zagraniczną tego kraju. Doświadczenie uczy, iż w tym czasie USA nie podejmują nowych inicjatyw, zwlekają z podjęciem zgłoszonych przez inne kraje, starają się zamrozić swoją politykę. Czy uda się Waszyngtonowi postąpić tak i tym razem — wobec intensywnego biegu wydarzeń?

Tymczasem w NRF toczy się nadal wojna nerwów w związku z ratyfikacją układów. W dalszym ciągu opozycja głosi koniec koalicji rządowej. Replikował na to w ostatnich dniach kanclerz Brandt, stwierdzając uprost, iż nie ustąpi, ponieważ nie ma po temu ani politycznego ani osobistego powodu. Jest przekonany, że układy wschodnie uzyskają w Bundestagu niezbędną większość. Rezerwuje sobie prawo powiązania ratyfikacji układów z votum zaufania. Wystąpienie Brandta ocenione zostało przez prasę jako przejście koalicji rządowej do kontrofensywy.

Z frontu walki o ratyfikację układów warto odnotować dwukrotnie w ostatnich dniach wypowiedzi na ten temat francuskiego ministra Spraw Zagranicznych — Schumanna. Z naciskiem podkreślił on, że Francja pragnie wejścia układów w życie, gdyż stanowią one element europejskiej polityki odprężeniowej. Minister przypomniał, że układ niemiecko-francuski z 1963 r. upoważnia jego kraj do zabierania głosu w tej sprawie. Odrzucenie polityki wschodniej Brandta byłoby ciosem w politykę wschodnią Francji.

Tak mocne i jednoznaczne podkreślenie związku polityki Francji z ratyfikacją układów w szczytowym punkcie polemiki i starć w NRF — ma swoją wymowę. Również w Waszyngtonie i Londynie z największą uwagą śledzi się batalię o układy, chociaż obie te stolice nie okazują tego, chcąc uniknąć wrażenia, że mieszają się w sprawę wewnętrzne NRF. Takiej ewentualności najmniej obawia się Paryż i stąd otwarta wypowiedź Schumanna.

I jeszcze jeden temat dzisiejszego przeglądu aktualności — radziecko-amerykańskie rozmowy w sprawie ograniczenia broni strategicznej. Kolejna, siódma już tura rozmów, rozpocznie się 28 marca w Helsinkach. Wiąże się z nią określone nadzieje. Będzie to ostatnia runda przed wizytą Nixona w Moskwie i stąd przypuszczenie, iż po licznych już wstępnych dyskusjach — tą charakterystyczną będą intensywne, merytoryczne rokowania.

Dyrektor amerykańskiej Agencji do Spraw Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia a zarazem szef delegacji USA na rozmowy SALT — Gerard Smith wyraził nadzieję, że w Helsinkach uzgodnione zostanie porozumienie na temat ograniczenia broni defensywnej, które przybierze postać formalnego układu. Natomiast porozumienie o broni ofensywnej będzie miało charakter tymczasowy, a układ na temat mógłby być wynegocjowany dopiero w okresie późniejszym.

Komentatorzy zastanawiają się, czy wystąpienie Smitha jest oficjalną zapowiedzią finału rozmów w Helsinkach, czy też prywatnym jego przewidywaniem.

Warto zwrócić uwagę jeszcze na to, że, jak podkreślił Smith, USA równocześnie nie będą się uchylać od dyskusji na forum genezyjskiej konferencji rozbrojeniowej nad całkowitym zakazem doświadczeń z bronią nuklearną, który obejmowałby także próby podziemne i podwodne.

Czy więc wiosna 1972 roku będzie wiosną postępu w dziedzinie ograniczenia zbrojeń jądrowych?

W. SŁAWSKI



Sejm po VI Zjeździe, siłą rzeczy, musi pracować jeszcze aktywniej. Zdają sobie z tego sprawę członkowie partii kandydujący na posłów do Sejmu, ponieważ VI Zjazd szczególnie mocno zobowiązuje członków partii, zdają sobie sprawę z tej konieczności także członkowie ZSL, SD, jak i bezpartyjni kandydaci na posłów, wyrazem tego były spotkania przedwyborcze. Na spotkaniach przedwyborczych, wyborcy podnosili dość często problem konieczności większej więzi posła z wyborcami. Wniosek absolutnie słuszny. Nie wyobrażam sobie dobrej pracy posła — a przecież każdy twierdzi, że chce być dobrym posłem — bez aktywnej więzi z wyborcami. Znajomość problemów miasta, problemów ludzi pracy i społeczeństwa, znajomość dążeń, pragnień ludzi, klimatu, jednym słowem znajomość życia i problemów kraju, jest możliwa tylko poprzez stały kontakt, stałą więź z wyborcami.

My, łodzianie w wyniku decyzji partii i rządu o przyspieszonej modernizacji i przebudowie przemysłu i miasta, zajmujemy szczególne miejsce w programie, uchwalonym na VI Zjeździe. Powstaje w związku z tym konieczność aktywniejszego działania naszych posłów, tak na forum Sejmu, jak i poza Sejmem. Mam głęboką nadzieję, że mieszkańcy Łodzi — posłom, których wybiorą 19 marca — pomogą będą w ich pracy. Pomagać będą zarówno radą, jak i dobrą pracą. Wszakże cel jest jeden. Celem tym — dobro ludzi pracy, rozwój naszego miasta, dobro, rozwój i siła naszej Ojczyzny.

**Prof. dr MIECZYSLAW SERWIŃSKI**

Rektor Politechniki Łódzkiej

**PYTANIE:** Jeżeli zostanie Pan Rektor wybrany na posła do Sejmu PRL, jakie najważniejsze problemy naszego miasta znajdą się w centrum Pańskiej działalności poselskiej?

**ODPOWIEDZ:** Jako mieszkaniec Łodzi interesuję się, rzecz oczywista, tymi głównymi zagadnieniami, które są tak istotne dla naszego miasta jak: zaopatrzenie w wodę, budownictwo mieszkaniowe, modernizacja przemysłu lekkiego, sprawy komunikacji miejskiej, warunki socjalne ludzi pracy i szereg innych.

Najwięcej jednak uwagi, w przypadku wybrania mnie na posła do Sejmu PRL, chciałbym poświęcić problemom szkolnictwa, szczególnie wyższego oraz zagadnieniu ściślejszego merytorycznego powiązania zaplecza naukowo-badawczego z produkcją przemysłową.

Chodzi tu, między innymi, o wypracowanie takich metod kształcenia kadry naukowo-technicznej i organizowanie takich form jej pracy, która zapewniłaby najlepszą realizację rocznych i wieloletnich planów gospodarczych. Cele w zakresie rozwoju przemysłu, nauki i oświaty zostały sprecyzowane w Uchwale VI Zjazdu PZPR. Obecnie musimy dokonywać wyboru najlepszych metod wykonywania tych zadań. W ramach nowego systemu studiów wyższych będą musiały być opracowane nowoczesne plany i programy kształcenia kadry inżynierskiej. W pracach Sejmu trzeba będzie dążyć do dalsze-

go, znacznego wzmocnienia inwestycyjnego szkół wyższych i Instytutów naukowych, do lepszego wyposażenia tych placówek w nowoczesną aparaturę badawczą i pomiarową oraz do koncentracji wysiłków wokół najważniejszych i najpilniejszych potrzeb gospodarki narodowej.

Równocześnie trzeba będzie uczynić wszystko, aby pracowników nauki odciążyć od nadmiaru zbędnych czynności administracyjnych i sprawozdawczych.

na. Takie wielkie miasto, które chce być nowoczesne i w którym tyle ludzi jeździ do pracy, musi mieć dobrą komunikację. To jasne.

Bardzo leży mi na sercu poprawa warunków socjalno-bytowych załóg naszych łódzkich fabryk, a także podniesienie zarobków w przemyśle włókienniczym do wysokości zarobków w innych gałęziach przemysłu o podobnej uciążliwości pracy. Trzeba też pamiętać o unowocześnianiu naszych fa-

bryk, więc o wymianie przestarzałych maszyn włókienniczych na nowoczesne, bardziej wydajne, wprowadzaniu ulepszeń technicznych w parkach maszynowych zakładów włókienniczych, unowocześnianiu procesów produkcyjnych, i tak dalej.

Takich spraw, i innych, jest sporo. Wymieniłam tylko te — moim zdaniem — najpilniejsze do załatwienia i o nich chciałabym powiedzieć w Sejmie. Jeżeli, ma się rozumieć, zostaną posłem na Sejm.

# Moja rola w Sejmie

Trzeba będzie w szerokim zakresie dbać o podnoszenie kwalifikacji zawodowych kadry aktualnie pracującej w zapleczu naukowym i w przemyśle przez organizowanie dla tych pracowników specjalistycznych kursów, studiów podyplomowych, studiów doktoranckich i innych form. Chodzić będzie również o harmonijną współpracę różnych instytucji naukowych, podzielonych administracyjnie, ale interesujących się podobną lub tą samą tematyką badawczą. Na tym tle łódzkie środowisko naukowe ma do wykonania olbrzymie zadania. Dobre wykonanie tych zadań przez kadre naukowo-techniczną wspólnie z klasą robotniczą Łodzi, to falszy postępek w życiu naszego miasta, regionu i kraju.

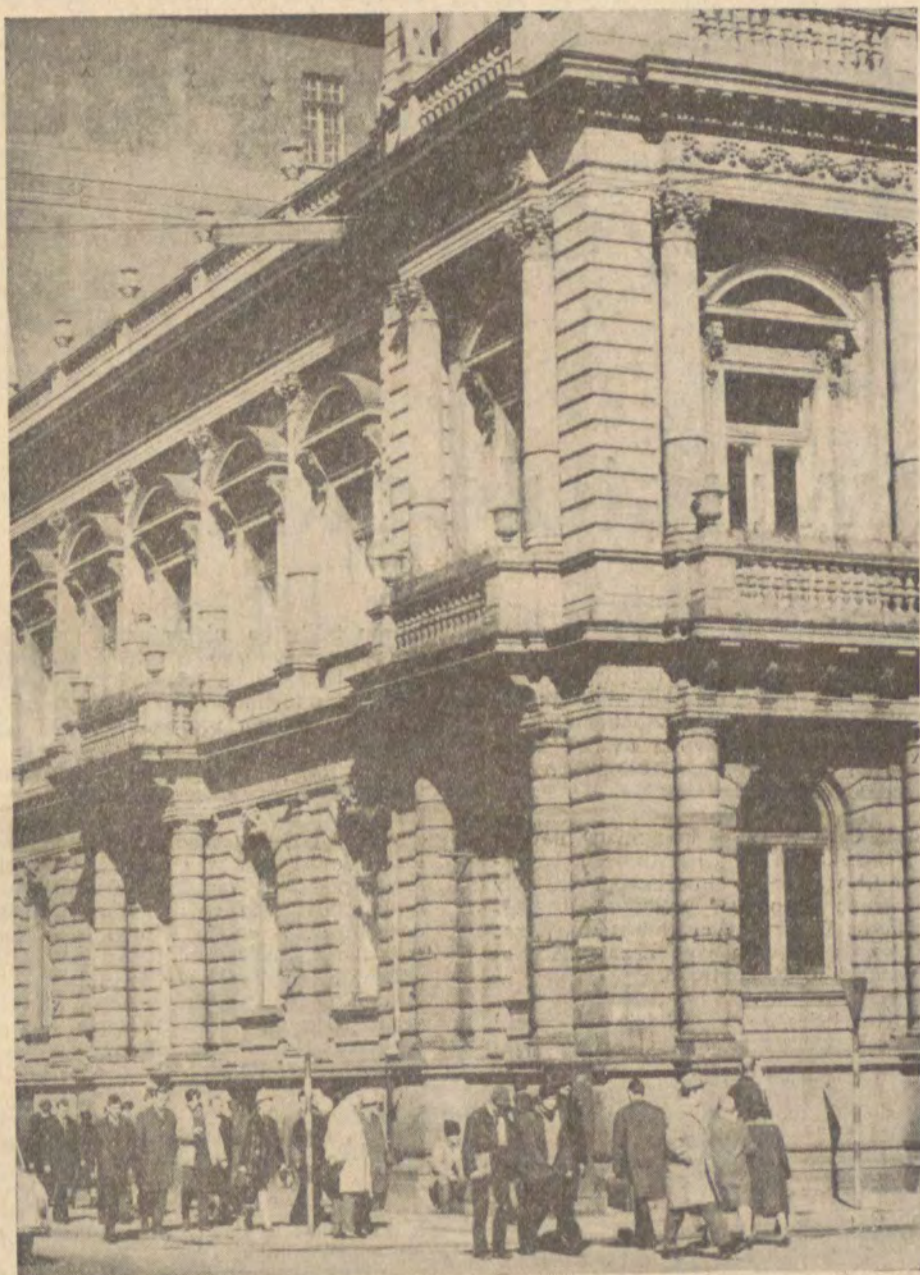
**MONIKA SZCZEŚNIAK**

Przędka w ZPB im. F. Dzierżyńskiego

**PYTANIE:** Jeżeli zostanie Pani wybrana na posła do Sejmu PRL, jakie — zdaniem Pani — najpilniejsze sprawy, dotyczące różnych kwestii naszego miasta, pragnęłaby Pani poruszyć na forum Sejmu?

**ODPOWIEDZ:** Myślę, że najpilniejszą sprawą do załatwienia, jeżeli można to tak powiedzieć, jest przede wszystkim szybka poprawa jakości budownictwa mieszkaniowego i remontów. Nie można pozwolić na marnowanie pieniędzy społecznych wskutek braku gospodarności i niechlujstwa brakovobów. Wiąże się z tym niemniej ważna sprawa, szczególnie dla nas, kobiet pracujących, mianowicie sprawa rozszerzenia sieci sklepów i punktów usługowych w osiedlach, w których mieszkamy. Chodzi mi tu o sklepy dobrze prowadzone, których kierownicy dbaliby nie o „piwko” dla pijaków, a o produkty pierwszej potrzeby, o produkty spożywcze dla nas, dla gospodyń, matek i żon, powracających z ciężkiej pracy.

Bardzo ważną sprawą jest polepszenie komunikacji miejskiej, żeby była wreszcie sprawna, szybka i choć w miarę wygod-



Fot. A. Wach

## Rozstrzygnięcie plebiscytu

### „Łodzianie 1971“

**D**OROCZNY, tym razem czwarty już, konkurs-plebiscyt: „Łodzianie roku” został rozstrzygnięty. W ostatnim numerze „Odgłosów” z ubiegłego roku przedstawiliśmy dziesięciu kandydatów, ludzi różnych zawodów i różnych środowisk, których łączy zaangażowanie i praca dla Łodzi. Spośród tej dziesiątki Czytelnicy „Odgłosów” mieli wybrać trzy osoby, które ich zdaniem najbardziej zasługują na miano „Łodzianina 1971”. Tegoroczny plebiscyt cieszył się wyjątkową popularnością. Duża ilość listów spowdowała, że wyniki plebiscytu podajemy z pewnym opóźnieniem.

Rozstrzygnięcie konkursu i losowanie nagród odbyło się 8 marca 1972 roku. Miły przypadek spowodował, że z woli Czytelników laureatami naszego konkursu zostały same kobiety.

Największą ilość głosów otrzymała doc. dr **ANNA RYŃKOWSKA** — pracownik naukowy Państwowego Archiwum w Łodzi, autorka przeszło 20 publikacji poświęconych przeszłości miasta, wśród których najważniejszą i cieszącą się zasłużoną popularnością jest wydana w ubiegłym roku monografia ulicy Piotrkowskiej.

Drugie miejsce zajęła **KRYSTYNA KONDRATIUK** — dyrektor Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi, założycielka tego muzeum, popularyzatorka polskiej tkaniny artystycznej na świecie.

Trzecie miejsce przypadło w udziale **MARI RYL** — współtwórcy Państwowego Teatru Lalki „Arlekin” w Łodzi, która przez 25 lat działalności w tym teatrze zajmowała się nie tylko organizacją pracy artystycznej, ale również pedagogiczną opieką nad widownią.

Czwarte miejsce, ilością głosów zbliżoną do trzeciego, zajęła **TERESA WOJTASZEK-KUBIAK** — solistka Teatru Wielkiego w Łodzi, zbierająca laury na scenach operowych i estradach całego świata. Dlatego też postanowiliśmy w tym roku odstąpić od zasady i przyznać Jej również miano „Łodzianki — 71”.

Wśród uczestników naszego konkursu-plebiscytu, zgodnie z czteroletnią tradycją, rozlosowaliśmy cenne nagrody.

I tak, pierwszą nagrodę — radiodiodownik tranzystorowy — otrzymuje **Krystyna Malinowska**, Baborzyn 18, p-ta Buczek, pow. Łask.

Drugą nagrodę — zegarek na rękę — otrzymuje **Andrzej Ręcewowski**, Łódź, Kilińskiego 176.

Trzecią nagrodę — kilim cepelowski — otrzymuje **Marian Kasica**, Łódź, Zachodnia nr 23b m. 37.

Trzy książkowe nagrody pocieszenia otrzymują: 1. **Leon Karpiński**, Szczecin — Police, Rewolucji Październikowej 22.

2. **Teresa Muszyńska**, Warszawa, Górnośląska 1 m. 187.

3. **Gerard Mliński**, Tuszyn 3, pow. Łódź, bl. mieszkalny 4.

Tegoroczni laureaci plebiscytu „Łodzianie-71” spotkają się z Czytelnikami „Odgłosów” i podczas uroczystego ogłoszenia wyników otrzymają pamiątkowe metalowe talerze z herbem Łodzi. Na tym samym spotkaniu odbędzie się wręczenie nagród Czytelnikom biorącym udział w naszym konkursie. O terminie spotkania powiadomimy osobno.

W najbliższym czasie opublikujemy kolejne wyjątki z listów Czytelników, którzy brali udział w głosowaniu na „Łodzian-1971”.



dencji w Izbie, miejsce w senacie, wiceprezydentura, klęska w 1960 roku, następna w walce o gubernatorstwo stanu Kalifornia w 1962 roku i wreszcie fotel prezydencki. Wszystko to wygląda tak, jak u Eisenhowera, który powiedział o sobie: „Każdy może być prezydentem”. Nixon również swoim wyborem potwierdził Ameryce, że każdy może być. Przecież też pochodzi z wielodzietnej, biednej, kwakerskiej rodziny. Cytowany biograf pisze: „Wszystko osiągnął swoją pracą”. I dalej: „Przeznaczenie zrobiło go...” Może to być wrzuszające dla czytelników tej książki w Ameryce, ale dla obserwatora z zewnątrz interesującym jest nie Nixon self made man, ale Nixon polityk. I być może, gdy prześledzi jego polityczne oblicze, znajdzie odpowiedź, dlaczego Nixon doszedł do Białego Domu.

A więc wróćmy do początków. Życie publiczno-polityczne zaczął w 1940 r. jako młody prawnik w jednym z najbardziej liberalnych federalnych urzędów „nowego ładu” Franklina D. Roosevelta — Office of Price Administration. Był wtedy zwolennikiem i F. D. Roosevelta, i Partii Demokratycznej. Kiedy jednak ubiegał się o miejsce w senacie, powiedział: „Jestem liberalny w polityce zagranicznej, konserwatywny w domowej”. Trafniej nie mógł się scharakteryzować.

lityków, w ich psychologii politycznej nad wszystkim góruje sprawa utrzymania się przy tym zawodzie”.

### Wymagania Lippmanna

Tak się zbiegło, że prawie połowa pierwszej kadencji Nixona wypadła w 58 rocznicę jego urodzin. Prasa nie rozpisywała się o tym, jak on obchodził te dwie rocznice. Jedynie James Reston, znany publicysta z „Herald Tribune”, pisał: „To jest zagadka. Ludzie, którzy znają osobie Nixona, ufają mu, ale po drugiej stronie też leży prawda, ci, którzy nie znają go osobiście, wątpią w niego. Dwa prezydenci? Prywatny i publiczny. W publicznym działaniu nie jest on spokojny, dokładny, rozważny; inaczej w prywatnym. Tutaj tkwi problem między prezydentem obiektywnym, a jego taktyką i jego metodami”. Nixon prywatny dla narodu jest niedostępny, a więc naród ocenia go w kategoriach publicznych. Ale on zdaje się o tym nie „wiedzieć”. Uparcie zakłada, że „milcząca większość” jest rzeczywistą większością w społeczeństwie i dlatego nie sugeruje się „gniewną większością”, o jakiej przypomniał mu inny publicysta, Stewart Altop z „Newsweeka”. Zapewne to pozwa-

rza. Blisko 73 proc. uważa, że system władzy jest zły. A przecież nie tylko młodzież będzie głosować i nie tylko ona jest niezadowolona. Lista problemów, jakie dostał on w spadku po budowniczym „wielkiego społeczeństwa”, L. Johnsonie, nie zmniejszyła się w wyniku jego urzędowania. Istnieje więc problem ubóstwa, którym według Statistical Abstract US, wydawnictwa rządowego, dotknięte jest 30 mln obywateli, posuwa się zjawisko stagnacji i inflacji, czeka problem murzyński, a nad tym wszystkim, wojna w Wietnamie i „interwencja” w Kambodży.

Mając taką listę problemów nie rozwiązanych nie może być pewnym dominującą liczbą „milczącej większości”. Do głosowania zaś stanie ponad 120 mln Amerykanów. Próbką nastrojów społeczeństwa były już dla niego wybory do Kongresu na jesieni 1970 roku. Jak pisał cytowany J. Reston: „Rezultat wyborów zgodnie ukazał nie tyle układ sił w senacie, czy Izbie Reprezentantów, lub w izbach stanowych, ile odbicie nastrojów w partiach i kraju” (dodać należy, że ogólnie poważne zwycięstwo odnieśli demokraci). Dlatego też wkrótce po wyborach starał się przekonać społeczeństwo, że jest czuły na głosy opinii publicznej, prasy. W orędziu o stanie państwa z 22. I. 71 r. zapowiedział podjęcie realizacji sześciu wielkich, najbardziej palących problemów: kwestia dobrobytu całego społeczeństwa, odwrócenie inflacji, pełne zatrudnienie, ochrona środowiska, problem opieki lekarskiej, sprawa wzmocnienia i odnowy stanowych i lokalnych rządów. „Herald Tribune”, komentując to wystąpienie, pisze, że było ono w tradycji wielkich orędzi: ogólnikowe, idealistyczne, optymistyczne. Komentarze innych dziennikarzy amerykańskich mówiły, że było to orędzie o państwie jutra, a nie o państwie, które dziś czeka na zmiany. I czas potwierdził te obawy. W wygłoszonym w tym roku, 20 stycznia, orędziu Nixon starał się gorąco zapewnić iż realizuje te wielkie problemy. Ale jak zauważył jeden z znanych komentatorów, chyba tylko w swoich wystąpieniach, a nie w rzeczywistości. Ten sceptycyzm prasy oparty jest o brak widoków na sfinansowanie wskazanych zadań skoro wydatki na wojsko pochłaniają ponad 70 miliardów dolarów rocznie (w 1950 r. budżet wojskowy wyniósł zaledwie 13 miliardów dolarów).

Koniec pierwszej kadencji Nixona zbiegać się będzie prawie z czterdziestą rocznicą objęcia prezydentury przez chronologicznie ostatniego wielkiego prezydenta, Franklina D. Roosevelta. Jednocześnie zaś zwycięstwo na jesieni tego roku (wybory 7 listopada) pozwoli ewentualnemu zwycięzcy celebrować 200-lecie rocznicę podpisania Deklaracji Niepodległości. I w tej sytuacji Nixon na pewno łatwo nie odda fotela prezydenckiego. Wyścig do Białego Domu rozpoczął się.

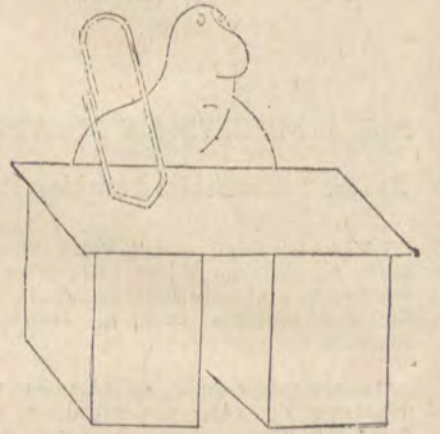
Senator George McGovern zgłosił swoją kandydaturę z ramienia partii demokratów. Na początku tego roku podobnie uczynił drugi demokrat, Edmund S. Muskie, Amerykanin polskiego pochodzenia. Czy zatem Nixon ma szansę wygrania ponownie wyborów? Wydaje się, że tak. Zależy to jednak od co najmniej trzech rzeczy. Przede wszystkim od tego, na ile zaczęta zachodzi zmiany w sytuacji ekonomicznej kraju, na ile zdoła przekonać społeczeństwo, że nie jest już w „polityce wewnętrznej konserwatywną”, co mu tak silnie wypomina prasa amerykańska i to dość różnych odcieni. Dalej, w jakim stopniu upora się z problemem wietnamskim i Kambodżą. Obecnie zapowiedział poważną redukcję wojsk. Sądzić jednak można, że to nie wystarczy wyborcom, i że będzie musiał przedstawić propozycję bardziej przekonującą. Wreszcie „last but not least”, kwestia, kto będzie kontrkandydatem. Bo jak na razie wśród demokratów problem ten jest otwarty, wiadomo tylko, że o nominację ubiegać się będzie kilku polityków.

Wizyta Nixona w Pekinie i Moskwie to w kampanii wyborczej raczej karty o niewysokich walorach. Społeczeństwo amerykańskie nie przykładą do nich wielkiej wagi, jak zawsze czule jest tylko na własne sprawy. Tak więc pozostaje już tylko śledzić ostatnie miesiące pierwszej kadencji Nixona, kadencji, która na pewno nie wprowadzi go do panteonu wielkich, a także nie daje mu wiele szans na zaliczenie się do „prawie wielkich”. I właśnie to jeszcze raz przypomnia, że od czasu wyboru Johna F. Kennedy'ego społeczeństwo amerykańskie ogarnięte jest kryzysem przywództwa politycznego i autorytetów polityczno-moralnych. Co jest tym dotkliwsze, iż tkwi ono jeszcze w fazie procesów dezintegracji ekonomicznej, politycznej, społeczno-kulturalnej. Dlatego to wszystko rodzi potrzebę — authoritarian personality — wyboru wielkiego prezydenta.

# Strzelał znaczy szerszeń

Ciekawe, że czasopisma satyryczne przybierają często groźne nazwy klujących, żądających, bodących czy inaczej atakujących zwierząt. Ot „Krokodyl” w Związku Radzieckim, „Dikobraz” (jeżozwierz) i „Rohacz” (tłumaczenie zbędne) w Czechosłowacji i tak dalej i dalej. Daleko odchodzi od tego wzorca „Karuzela”, która choć ostrzem satyry nie różni się od swych zagranicznych krewniaków, to nazwę ma kojarzącą się raczej z rozrywką i zabawą niż dokuczaniem.

Ale dosyć rozważań nazewniczych, chodź bowiem o jednego tylko przedstawiciela rodziny żądających — szerszenia. „Strzelał” jest tygodnikiem satyrycznym Bułgarów przyjaźniącym się z „Karuzelą”, a dzięki tej przyjaźni i wzajemnej sympatii, mamy okazję oglądać, w sali Klubu Dziennikarza, wystawę rysunków satyrycznych bułgarskiego „Strzelała”. Szczęśliwie lokalni pozwolili na eksponowanie tylko ponad 50 rysunków



szóstu grafików, a są to: Georgi Anastasow, Georgi Czauszow, Asen Grosew (jego rysunki mieliśmy okazję oglądać i w „Odgłosach”), Karandasz, Teniu Pindarew i Genco Simeonow. W krótkim tym przeglądzie pomieszczone jednak dość szeroki przekrój tematyczny grafik — od satyry politycznej, społeczno-obyczajowej po żart rysunkowy i metaforę. Przekrój ten świadczy o szerokich zainteresowaniach satyryków bułgarskich, o tym, że swoje obserwacje i pomysły pokazać potrafili w sposób świeży i oryginalny, prezentując jednocześnie wysoki kunszt graficzny.

Twórczość satyryczną „Strzelała” popularyzuje „Karuzela” nie po raz pierwszy. Czyny to często na swych łamach tak samo jak często prezentuje teksty i rysunki innych zaprzyjaźnionych tygodników satyrycznych „Krokodyla” z Moskwy, „Pikera” z Tallina, „Dadzisa” z Rygi, „Ludas Matyi” z Budapesztu, „Eulenspiegel” z NRD, „Dikobraza” z Pragi i „Rohacza” z Bratysławy. Z tymi utrzymuje stałe kontakty, wymieniając nawet całe kolumny tekstów i rysunków. Sama „Karuzela” trafia nie tylko na łamy pism satyrycznych. Niedawno „Litieraturnaja Gazieta” poświęciła jej całą kolumnę druku.

A przy okazji — nasza „Karuzela” dobiega już do 15-lecia istnienia i ekspozycja rysunków „Strzelała”, zorganizowana wspólnie z Wydawnictwem „Prasa Łódzka” oraz Klubem Dziennikarza, rozpoczyna cykl wystaw, którymi pismo chce uczcić swój jubileusz. Następną będzie Wystawa Rysunku Satyrycznego w Salonie Sztuki Współczesnej (koniec kwietnia), potem Wystawa Karykatury Portretowej Ibis-Gratkowskiego (w maju br.).

(TW)



Rys. Gen. zo Simeonow

# Prezydentura na dwustulecie?

Bo rzeczywiście zmienił się, został przeciwnikiem wszystkiego, co choćby trąciło „nowym ładem”. I tak w polityce agrarycznej popierał plan Marschalla, ale w wewnętrznej był: członkiem komisji przygotowującej słynną ustawę antystrajkową Tafta-Hartleya, członkiem komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej, w ramach której wszczął sprawę Case Hissa — komunisty niewinnie podejrzanego o działalność antypaństwową, wreszcie inicjatorem ustawy McCarrana — o wewnętrznych bezpieczeństwie. W senacie natomiast współpracował z ostawionym z polowania na „komunistów” J. McCarthym.

Innym jednakże zaczął się ukazywać społeczeństwu od 1953 roku, kiedy został wiceprezydentem przy boku Eisenhowera. W Kongresie bronili Murzynów, odznęwał się od maccarthyizmu. Budująca to musiała być scena, kiedy na jednym z zebrań swojej partii, Nixon, ujrzawszy McCarthya, kazał wyrzucić go z sali. To był już rok 1956. Eisenhowerowi pozostawała tylko jeszcze jedna kadencja, a Nixon dość często w czasie chorób „Ike” miał okazję rządzić jak żaden inny wiceprezydent przedtem. Zresztą partia republikańska uważała, że po dwudziestu latach rządów demokratów, winna nieco dłużej potrzymać ster władzy w swych rękach. Nixon gorąco podzielał tę opinię. Znamiennie, że w 1959 roku mówił: „Komunizm nie jest dłużej polityczną kwestią w Ameryce”. I wydawało się, że wygraną w wyborach 1960 r. ma w kieszeni. A jednak przegrał i to na pewno nie dlatego, że Kennedy miał lepsze slogany wyborcze. 111.000 głosów różnicy to pech, na który złożyło się i to, że nie był tak przystojny, jak Kennedy. Innego rodzaju przegrana była już wybory o gubernatorstwo. Wtedy Kalifornia chciała mieć demokratę, stawała się w nastrojach prokennedowska. Nixon był zalamany. Oświadczył dziennikarzom: „Nixon wycofuje się z polityki”.

Okazało się jednak, że nie mógł żyć bez polityki. Pomagał Goldwaterowi w kampanii wyborczej 1964 roku i analizował swoją i jego przegraną. I jeszcze raz uznał, że może stanąć do walki. Tym razem Ameryka była zmęczona demokratami. Nixon cały ciężar problemów wewnętrznych i zagranicznych powiesił na szyi przeciwnika, H. Humpreya. Jego sztab wyborczy natomiast reklamował innego, nowego Nixona. Myślącego o zakończeniu wojny, którą wywołali demokraci, o rozbrojeniu, o pracy dla całego narodu. I zwyciężył. Dlaczego? Dlatego, że naród zapomniał o starych portretach Nixona, uwierzył w nowego. Dlatego, że jak mówi socjolog obserwujący jego karierę, „gdy polityka staje się zawodem i dla pewnej kategorii ludzi jedyną podstawą pozycji społecznej i znaczenia w społeczeństwie, to u takiej kategorii po-

la mu także na nieznaną wypowiedzi jeszcze jednego wielkiego publicysty, Walta Lippmanna. Tego, który analizował, a i niejednokrotnie wpływał na politykę dziesięciu prezydentów. Bo Lippmann takich wymaga kwalifikacji od prezydenta: „Przed wszystkim powinien posiadać zdolność widzenia, jakie sprawy są istotne wśród codziennych wydarzeń... co jest permanentne, a co chwilowe... musi być w stanie widzieć, jaką drogą podążają sprawy. On nie musi sam wszystkiego robić. Powinien tylko decydować. A zatem winien mieć umysł sędziowski. Zadaniem jego jest wysłuchiwanie argumentów ścierających się stron i podejmowanie decyzji... musi być w stanie czuć kłopoty narodu i to nie tylko tutaj (w USA), ale w Turcji, na Kubie, gdziekolwiek...”

Prezydent J. Kennedy powiedział kiedyś, że czyta komentarze Lippmanna z olówkiem w ręku. Nie jest wiadomym, czy czyni to Nixon. Natomiast wiadomym jest, że kiedy w 1960 roku Lippmann został zapytany o ewentualną ocenę prezydentury Nixona, gdyby ten pokonał Kennedy'ego, odpowiedział: „Myślę, że może być gorsza od Eisenhowera”. A przecież „Ike” nie należał w oczach Lippmanna do udanych prezydentów. Czyżby prorocstwo, czy tylko głęboka znajomość możliwości Nixona?

### Wyścig rozpoczęty

Nixon zwyciężając w kampanii wyborczej w 1968 roku otrzymał 31.785 tysięcy głosów, co dawało mu przewagę nad Humpreym 50 tysięcy. W głosowaniu wzięło udział 67 proc. uprawnionych. Zdecydowaną większość wśród owych 67 proc. stanowili wyborcy w wieku powyżej 30 lat. Natomiast wyborcy w wieku lat 18—25 to w ponad 65 proc. studenci. Stosunki: Biały Dom — uniwersytety, na których przebywa ponad 7 mln studentów nie są, delikatnie mówiąc, najlepsze. I, być może, Nixon nie bardzo by się tym przejmował, że w tym roku do głosowania zostanie dopuszczonych 11,5 mln młodych ludzi. A tej sily nie może już lekceważyć polityk, który kiedyś przegrał wybory o „głupie” 111 tysięcy. Na pewno dlatego 15. I. 1971 r. Nixon znalazł się na uniwersytecie Nebraska i tam rzucił słowa do 9 tysięcy studentów: „Nie może być straconego pokolenia w Ameryce”. Ale czy liczy na to, że studenci nie pamiętają swych ofiar z uniwersytetu w Kent State? A może nie zna różnych danych instytutów do badania opinii publicznej, które zgodnie ukazują, że ponad 65 proc. młodzieży jest za natychmiastowym przerwaniem wojny, około 30 proc. mówi o wycofaniu się z twa-

BOGDAN GRZEŁOŃSKI



**W**SZYSTKICH, których do-  
tknie ten tytuł, właśnie u  
progu obchodów 500-lecia

urodzin wielkiego astronoma, wy-  
pada przeprosić. Astronomów, mi-  
łośników astronomii i PT Sztw-  
niaków. Nie postępuję Koperni-  
ka — zarówno jego imię, jak i  
owe tytułowe piwo symbolizują  
po prostu pewne sprawy.

Dla ziemi olsztyńskiej Rocznica  
Kopernikowska jest symbolem  
szansy turystycznej, inwestycyj-  
nej, usługowej, propagandowej  
I piwo jest symbolem, niestety,  
symbolem nędzy turystycznej, in-  
westycyjnej i usługowej.



JERZY WILMAŃSKI

# KOPERNIK I PIWO

**M**INĘŁO ponad czterysta lat  
od chwili, kiedy Mikołaj  
Kopernik otrzymał do rąk  
drukowany w Norymberdze  
egzemplarz swego dzieła o obro-  
tach ciał niebieskich. Świadomość  
tego faktu już d astronomia nie  
dotarła, na wiele dni przedtem  
Kopernik stracił pamięć i przy-  
tomność umysłu. Przeżył 70 lat, 3  
miesiące i 5 dni — słynny obraz  
Radzikowskiego, przedstawiający  
Kopernika na łożu śmierci z trzy-  
manym w dłoniach egzemplarzem  
swego dzieła, jest już tylko sceno-  
grafia malarza.

Ale to był dopiero początek.  
Marcin Luter nazwał Mikołaja  
Kopernika sarmackim głupcem  
(potem hitlerowski wynawca Luta  
nazywali Kopernika wielkim  
niemieckim astronomem). Jezuita  
Wojciech Bystrzynowski zaprze-  
czając teorii heliocentrycznej pi-  
sał: „Gdyby Ziemia koło Słońca  
krążyła, musiałaby podczas poró-  
wnania dnia z nocą największy  
cyrkul ekwatora obiegać, które-  
go jest mil 5400, we 24 godziny  
przebieżyć. Za tym, co godzina  
ubieżeć mil 225. A co minuta już  
pół czwartej mili. Z którego obro-  
tu Ziemi tak prędkiego musieliby  
wszyscy ludzie zawrót głowy cier-  
pieć, jako cierpi ten, który długo  
i predko krąży. Musiałaby ludzi  
kamienie i inne rzeczy odbijać  
Ziemia w górę tak mocno, tak  
jak koło wozowe impetem swego  
obrotu odbijać błoto przylgnię-  
te...”

Długo nie mogło odkrycie  
Mikołaja Kopernika trafić do ów-  
czesnych umysłów. Na kościelnym  
indeksie znalazło się jego dzieło  
w roku 1616, zdjęto je dopiero  
w... 1823, kiedy statycznego syste-  
mu Ptolomeusza nikt już poważ-  
nie nie traktował. O odkryciu  
Kopernika nie można nawet powie-  
dzieć, że jest ono na miarę epoki  
— jest ono bowiem na miarę  
wszystkich epok, jakie dotąd  
ludzkość przeżyła. Stąd Kopernik  
i jego dzieło stają się w rocznicę  
500-lecia urodzin astronoma —  
olbrzymią szansą dla jego rodzim-  
nego kraju, dla ziemi, na której  
żył.

Wszystko to, co się dzieje obe-  
cnie w Olsztynie, odbywa się pod  
znakiem obchodów tej rocznicy.  
Nawet nowy dworzec kolejowy i  
autobusowy też się dostał miastu  
nie bez zasług astronoma. Ale tu  
czas na piwo.

Dworzec jest imponujący —  
zgoda. Turysta (krajowy i zagra-  
niczny) może podziwiać jego wnę-  
trze, ale jeśli zechce coś zjeść, to

najpierw stanie w długiej kolej-  
ce, potem otrzyma zupę fasolową  
i piwo. Czyli nęcza gastronomii.  
Turysta (krajowy i zagraniczny)  
może tu przyjechać, ale jeśli za-  
pragnie uzyskać jakąś informację  
w eleganckim kantorze z symbo-  
lem Informacji, to miłe panienki  
raczej wprowadzą go w błąd.

Jechałem do Reszla (raptem 63  
km od Olsztyna), ale informacja  
na temat kolejowych połączeń z  
tym miastem tak się miała do  
rzeczywistości, jak pieśń do nosa.

Podobnie z bazą, hotelową, a  
raczej informacją o tej bazie. W  
recepturze Hotelu Warmińskiego od-  
powiedziano: „Pokoju brak, w in-  
nych hotelach również, niech pan  
jedzie do biura kwater prywat-  
nych”.

Pojechałem, ale taksówkarz był  
lepiej zorientowany: „Panie —  
rzekł — w biurze kwater nikt już  
o tej porze (godz. 22) nie pracu-  
je, ale pokój dostanie pan w ho-  
teli „Nad Łyną”. I rzeczywiście.  
A przecież w „Warmińskim” wisi  
nad recepcją międzynarodowy  
znak Informacji. I właśnie tam  
nie wiedzieli, jakie są godziny  
pracy biura kwater i nie wiedzie-  
li, że w innym hotelu są wolne  
pokoje... A zatem piwo, czyli nę-  
cza informacji turystycznej.

Błagam tylko fachowców od ol-  
sztyńskiej informacji, aby nie  
brali przypadkiem na etat miej-  
scowych taksówkarzy. Pewno by  
wówczas wyszło jedyne źródło  
rzetelnej informacji turystycznej.

wych — polskiej, szwedzkiej i  
czeskiej w łącznym nakładzie  
około 170 tys. egz. Druk środków  
do broszury odbywa się jedno-  
cześnie, przy czym zmiana nastę-  
puje jedynie w kolorze czarnym  
poszczególnych wersji języko-  
wych. W tej sytuacji podczas  
procesu druku, mimo dokładne-  
go rozdziału druków na po-  
szczególnie wersje może zdarzyć  
się, że kilka akuszy wersji obo-  
języcznych znalazły się w wersji  
polskiej. W procesie oprawy ca-  
łość środków broszur podzielona  
jest na wersje i kolejno wersjami  
oprawiana. Oprawa wykony-  
wana jest na urządzeniu mecha-  
nicznym o dużej wydajności

egzemplarzy na godzinę i wy-  
chwycenie ewentualnych arku-  
szy obojęzycznych w czasie  
oprawy wersji polskiej jest nie-  
możliwe. Oprawione egzemplarze  
liczone są ręcznie i przeglądane  
w paczkach, tym niemniej przy  
nakładzie 100 tys. egzemplarzy  
może się zdarzyć, że egzemplarz  
opisany w Waszym artykule zo-  
stał wysłany wraz z nakładem i  
nie wykryty przez końcową kon-  
trolę nakładu.

Specyfika zakładu, typ pozy-  
cji, nakład, jak również szcu-  
pliwość działu kontroli technicznej  
nie pozwala na dokładne prze-  
jście każdego egzemplarza eks-  
pediowanego z drukarni.

Wyżej opisane przypadki po-  
myłek nie zdarzyły się jed-  
nak w poprzednich numerach  
broszury „Kapitan Kloss”  
i jesteśmy przekonani, że  
przypadek, o którym mowa  
zdarzył się sporadycznie. Ze  
swej strony dążyliśmy wszel-  
kich starań, aby podobne  
przypadki w przyszłości nie  
miały miejsca.

Sądymy, że wobec powyż-  
szych wyjaśnień stwierdzenie  
autora artykułu — „Ktoś jed-  
nak wpadł na pomysł zrobienia  
interesu ze szwedzkich klisz,  
czy szwedzkich remanentów. I  
zrobił balona z nabywców” —  
krzywdzi nasze przedsiębio-

stwo i świadczy o niezajomo-  
ści procesu wykonywania tego  
typu broszur przez autora ar-  
tykułu.

Nieporozumieniem wydaje  
nam się również obciążenie  
jakakolwiek odpowiedzialno-  
ścią za powstały przypadek Wy-  
dawnictwa „Sport i Turystyka”  
zlecającego nam wykonywanie  
broszury „Kloss”, ponieważ na  
tego typu przypadki Wydaw-  
nictwo nie ma żadnego wpły-  
wu.

DYREKTOR

LUCJAN JAGIELSKI

SZANOWNNA REDAKCJO!

Nawiązując do artykułu pt.  
„Kloss z odrzutu eksportowego”  
podpisanego przez p. Jerzego Wi-  
doka, zamieszczonego w numerze  
4 (740) z dnia 23.I.1972 r. Waszego  
Tygodnika w rubryce „Od nie-  
dzieł do niedziel” chcielibyśmy  
wyjaśnić cykl produkcyjny bro-  
szury „Kloss”, co być może po-  
zwoli wyjaśnić sprawę znalezie-  
nia się szwedzkiej wersji „Klo-  
ssa” w polskiej okładce w kło-  
sku „Ruchu”.

Broszura „Kapitan Kloss” wy-  
konywana jest w naszych zakła-  
dach w trzech wersjach języko-

Listy  
do  
REDAKCJI



**PAN HOZEL** był zawiadowcą odcinka kolejowego. Miał kancelarię prowadzoną przez rutynowanego kancelistę i pomocnika jego cierpiącego na śpiączkę prawdopodobnie na tle choroby cukrowej. Pan Hozel, jowialny, krępy, niski człowiek o ochrypłym głosie, nie należał do tytanów pracy, jako że regularnie o godzinie 10 wstępował do miejscowej restauracji, jedynego miejsca rozrywki w małej osadzie o bok stacji kolejowej i zapijał się piwem do godziny 15, to jest godziny, o której jego kancelaria kończyła pracę. Wracając z restauracji na obiad czasem zdążył jeszcze zastać w kancelarii swoich dwu pracowników, z których jeden budził się wystraszony ze snu z głową opartą na łokciach skrzyżowanych na biurku, a drugi oddawał mu zwykle kilka papierków do podpisu, zwracając się do pana zawiadowcy z pełną, pochlebstwą prośbą:

— Pan inżynier zechce łaskawie podpisać.

— Primum edere deinde philosophari — mówił na przykład. — Najpierw jeść, potem filozofować — odpowiadał Fryc po długim namyśle.

W dniu inspekcji od rana zabrano się do nakrycia stołu i zastawienia go wszystkimi potrawami, jakie przyrządzono w kuchni i tymi, jakie zostały zakupione. Co nie zmieściło się na stole, stało pod ręką w olbrzymim kredensie. W pogotowiu leżały również różne korkociągi i podobne im przyrządy do otwierania butelek wina i piwa. Różne wódki stały już w odpowiednich karafkach. Gdy nadchodziła pora przyjazdu pociągu z Warszawy, pan Kapusta wysłany został na zwiady na rowerze w kierunku stacji odległej o pół kilometra od kancelarii pana zawiadowcy. Kancelista przez okno wyglądał z kancelarii w kierunku stacji, a pan Hozel i jego żona wyglądała przez okna swego służbowego mieszkania również w tym kierunku.

mi i komplementami pod adresem gościa. Pani Hozel przeprosiła na chwilę inspektora, wpadła do kuchni syknęła pod adresem panny Joasi: „Ty idiotko, podałaś drób niedopieczony” i błyskawicznie, przybrawszy na twarz słodki uśmiech, wróciła do stołu. Usiłowała częstować gościa porcjami mięsa różnego rodzaju, ale jakoś gość nie kwapił się korzystać z tych propozycji. W pewnej chwili przeprosił, wstał i oświadczył, że musi na chwilę wyjść. Gdy wyszedł, pani Hozel, wykorzystując wolną chwilę zrobiła w kuchni awanturę. Przy stole, zostawszy sam na sam z małżonką, pan zawiadowca wyraził opinię, że za taki stan pieczonego drobiu winę ponosi sama pani, która powinna dopilnować, aby mięso było dość miękkie. Wymowna małżonka wrzasnęła nań z taką furią, że jego obrony, wypowiedzianej ochrypłym chronicznie głosem, nie można było dosłyszeć.

Tymczasem minęło prawie pół godziny, a pan inspektor nie wracał do mieszkania. Gospodarzy zaczął ogarniać niepokój. Czyżby inspektor dyskretnie poszedł dokonać przeglądu budynków gospodarczych i magazynu? Chyba jednak wyszedł do ubikacji znajdującej się na podwórku? Po krótkich debatach na zwiady wysłano pana Kapustę, który skradając się zlustrował podwórko i doniósł, że jedno z dwojga drzwi ubikacji są zamknięte i że od wewnątrz dochodzą od czasu do czasu jakieś odgłosy.

Nie ulegało wątpliwości, że inspektor znajduje się w ubikacji.

Minęła już prawie godzina i sytuacja nie ulegała żadnej zmianie. Niepokój wzrastał. Umysł państwa Hozel zaczęła dręczyć myśl, aby zło samopoczucie inspektora lub co nie daj Boże choroba wywołana spożyciem czegoś niezdrowego, nie wpłynęły ujemnie na wynik inspekcji i opinię o pracy pana zawiadowcy. Toteż zdenerwowaną szczerze była nie tylko małżonka, lecz w równym stopniu i sam zawiadowca. Wydano polecenie pani Joasi, aby na wszelki wypadek zaparzyła jakieś ziółka na żołądek i wyglądnęła na podwórko w pełnym napięciu oczekiwaniu. Pan Kapusta miał za zadanie obserwować ubikację, wchodzić co kilka minut do pomieszczenia sąsiadującego z zajętym przez inspektora, obserwować słuchem zachowanie się gościa wewnątrz i meldować co pewien czas swoje spostrzeżenia. I oto nadszedł meldunek: „Inspektor chyba śpi” (oczywiście w siedzącej pozycji). Zaczęto naradzać się nad tym, czy to jest może omdlenie z utratą przytomności. Wydano polecenie panu Kapuście, aby wyszukał gdzieś jakąś szparę, by móc wzrokowo upewnić się, że inspektor nie jest w stanie omdlenia. Ostatecznie jeśli to jest normalny sen, to może nie należy go przerywać, zwłaszcza, że sen taki może dawać pewną ulgę w cierpieniach układu trawienia. Minęła jeszcze jedna godzina i właściwie nie się nie zmieniło. Państwo Hozel zasiedli w stołowym pokoju przy stole nakrytym tyłu nie skomumowanymi specjalami, zapraszając, o dziwo, pannę Joasię i pana Kapustę, i rozpoczęli poważną naradę nad tym, co należy czynić dalej. Syn siedemnastoletni i jego korepetytor nie zostali włączni do narady.

Nie ulegało wątpliwości, że inspektor jest w poważnej niedyspozycji. Nie wiadomo było, czy jest to zwykle odurzenie alkoholem, czy też stan chorobowy przewodu pokarmowego. Tak czy owak należałoby spowodować sprowadzenie go do mieszkania i podanie odpowiednich leków z ewentualnym ułożeniem go do łóżka. Miała však już trzecia godzina od chwili, gdy opuścił stół. Zdecydowano, że pan Kapusta musi jakoś nacalnie przekonać się, czy inspektor tylko śpi zwyczajnym snem, czy też stan jego wymaga niezwłocznej ingerencji z zewnątrz, choćby nawet wymagało to wylamania zamkniętych drzwi ubikacji. Zgodnie z wynikiem narady pan Kapusta wyraził nadzieję, że uda mu się zajrzeć do środka ubikacji. Udał się do ogrodu, w którym rosło kilkanaście drzew owocowych, znalazł tam drabinkę, przyniósł ją na podwórko i przy jej pomocy zaczął systematyczny przegląd szczelności ścian i dachu ubikacji. Państwo Hozel z biciem serca oczekiwali wyniku obserwacji, pani domu dzielnie utrzymywała równowagę ducha, natomiast pan zawiadowca zdradzał już bardzo wysoki stopień zdenerwowania, chodząc od jadalni do kancelarii i wyrzucając bezdźwięcznym gło-

sem dwukrotnie powtarzany w regularnych odstępach czasu wyraz: „psiakrew”.

Po trwających około pół godziny oględzinach ścian ubikacji udało się panu Kapuście wynaleźć gdzieś niepozornie ukryty otworek na krawędzi dachu, powstały na skutek wypadnięcia małego sęciska z wysuszonej i trochę zmurszałej sosnowej deski. Stwierdziwszy to, co było poleconym mu zadaniem, pan Kapusta pospieszył złożyć meldunek zdenerwowanym państwu. Oznajmił więc, że pan inspektor znajduje się w pożalowania godnym stanie, w garniturze zawałanym na skutek wymiotów, oraz, że wygląd inspektora świadczy o tym, że się poważnie rozchorował. Po krótkiej konferencji państwo Hozel zdecydowali, że dalsze przebywanie inspektora w ubikacji może poważnie zagrażać jego zdrowiu, zatem należy udzielić mu pomocy natychmiastowej. Pani Hozel wydawała nerwowo zlecenia pani Joasi, aby przygotowała łóżko z czystą pościelą dla inspektora i uszykowała wywarty żołądek i chemikalia w celu wyczyszczenia ubrania, panu Kapuście zaś, aby szybko sprowadził sobie kancelistę do pomocy i nie bacząc na to, czy inspektor się obrazi, czy nie obrazi, ma pukać do ubikacji, wypowiadając równocześnie głośno wezwanie do otwarcia w formie: „Panie inspektorze, z polecenia pana zawiadowcy chcę udzielić pomocy”. Na podwórku stał już kancelista gotów do podtrzymywania w razie potrzeby inspektora. Korepetytorowi i synowi wydano polecenie, aby nie wazyli się wyglądać ze swego pokoju. Zgodnie z przewidywaniami drzwi ubikacji zostały wkrótce ręką inspektora od wewnątrz otwarte i pan Kapusta przystąpił natychmiast do wycierania ręcznikiem i kilku ściertkami zabrudzonych części ciała i garderoby pana inspektora. Tak prowizorycznie oczyszczony podźwiął na zewnątrz ubikacji, zapewnił, że nikogo na podwórku nie ma i nikt go widzieć nie może, skinął na kancelistę, by mu pospieszył z pomocą i w dwóch, ująwszy pod pachy chwiejącego się na nogach inspektora, przyprowadzili go do pokoju z przygotowanym dlań łóżkiem.

Już około szóstej rano dostojny gość wstał z łóżka i wyszedł na powietrze. Równocześnie zerwał się z łóżka pan Kapusta i panna Joasia, która zbudziła panią. Okazało się, że pan inspektor wstał w niezłym samopoczuciu, przeprosił bowiem panią Hozel za to, co się stało, poprosił o możliwie wczesne podanie mu śniadania i zapowiedział swój pilny wyjazd do Warszawy. Podniesiono na nogi o tak wczesnej porze również pana zawiadowcę. Oboje małżeństwo towarzyszyli gościowi przy śniadaniu. Mimo

obfitego doboru potraw zajmujących od wczoraj miejsce na stole, spożyto śniadanie bardzo skromne. Nie wypito już ani kropli alkoholu. Posiłek inspektora ograniczył się do bułeczki z masłem i szklanki mocnej herbaty, choć państwo Hozel serdecznie zapraszali gościa do wzmocnienia sił czymś bardziej posiłnym. Tym razem gość twardo i zdecydowanie odmawiał prośbom gospodarzy, przeprasząc równocześnie i dając wyraz zadowoleniu, że jego stan zdrowia uległ tak szybkiej poprawie dzięki czulej pielęgnacji, jakiej tu doznał, za co wyraża wdzięczność. Bezpośrednio po śniadaniu inspektor wszedł jeszcze z panem zawiadowcą na kilkanaście minut do kancelarii, popytał go o wyjaśnienie niektórych spraw dotyczących pracy na jego odcinku kolejowym i jeszcze przed godziną ósmą pożegnał się z państwem Hozel i wyruszył do stacji, skąd wyjechał najbliższym pociągiem.

Kilka następnych dni upłynęło dla pana zawiadowcy i jego żony w przynębiającej atmosferze pełnej niepewności, co też ów pierwszy raz poznany inspektor napisze w swym sprawozdaniu wizytacyjnym. Okres ten na szczęście nie trwał zbyt długo. Sprawozdanie z inspekcji nadeszło. Najpierw przeczytał je pan zawiadowca. Po przeczytaniu, mocno zarumieniony, zdjął okulary, schował je do futerału, futerał włożył do kieszeni i, wyciągnawszy rękę ze sprawozdaniem do kancelisty, rzekł rozpromieniony: — Panie Rygiel, czytaj pan!

Rzeczywiście czytanie tego sprawozdania musiało sprawić przyjemność również i kancelistę. Zawierało ono wysoką ocenę pracy zarządu odcinka kolejowego podległego panu zawiadowcy. Takiej oceny, prawdę mówiąc, nie bardzo się on spodziewał. Przeczytawszy sprawozdanie pan Rygiel wrócił do zawiadowcy, ten zaś pośpieszył natychmiast przeczytać je swojej małżonce. Po wysłuchaniu odczytanego przez niego sprawozdania ucałowała gorąco jego policzek i zamknęła całą sprawę kierując pod jego adresem z czułością wypowiedziane zdanie:

— Jak ty byś sobie radził bez mnie koteczku?

Fryc i korepetytor nie doznali zaszczytu przeczytania urzędowego pisma. Waleśali się nudząc wokół domostwa, Finta od czasu do czasu przymusił Fryca do powtarzania łacińskiego sentencji, na przykład: „primum edere deinde philosophari” albo „quis custodiet ipsos custodes?” i tak dalej...

Tekst ten jest skróconą wersją opowiadania wchodzącego w skład tomiku, który ukazuje się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

## Najpierw jeść, potem filozofować

Było to pochlebstwo, bo kancelista dobrze wiedział, że pan Hozel żadnego tytułu inżyniera, ani nawet maturo nie miał. Miał jednak wieloletnią praktykę pracownika kolejowego i nie było jakiejś owe międzywojenne czasy, stanowisko, więc cieszył się wśród pracowników szacunkiem. Po podpisaniu papierków pan Hozel zwykł był pytać swojego kancelistę o stan kancelarii stereotypowym pytaniem:

— Czy wszystko, panie Rygiel, w porządku?

— W porządku, panie inżynierze — odpowiadał kancelista. W rzeczywistości nie wszystko było w porządku.

W kancelarii najważniejszy był pan zawiadowca, natomiast całym domostwem zarządzała (skoligacowana w nikomu nie znany sposób z jakąś magnacką rodziną) jego żona.

— Nie zjadłabym nigdy posiłku bez obrusa, na przykład na czeracie — odezwała się raz podczas kolacji chcąc udokumentować swoje wysokie pochodzenie.

— A ja zjadłbym nawet na podłodze, byle coś dobrego — odrzekł pan Hozel.

— Boś cham — odparła bez namysłu jego żona.

I oto pewnego czerwcowego dnia pan Hozel otrzymał wiadomość, że na dniach grozi jego kancelarii inspekcja i to z ministerstwa. W życiu domowym pana zawiadowcy wywołało to tyle rwetesu, zamieszania, krzątani, jakiegoś nerwowego lęku, że nawet korepetytor Finta, osoba stojąca według logiki poza obrębem zainteresowań inspektora ministerialnego, zaczął się przejmować i lękać nie wiadomo czego. Pani Hozel mimo zdenerwowania nie traciła głowy. Wydała polecenie, że całe mieszkanie ma być wysprzątane na wysoki polysk, a sama wyjechała do Warszawy w celu zakupienia wiktualów.

Następnego dnia niezmiernie zdenerwowana pani domu osobiście kontrolowała jakość pracy służącej i służącego, i wytykała im pewne niedociągnięcia. W kuchni panna Joasia zalewała się potem skubiąc Indyżkę, dwie kaczki, kilka kurczaków i kurę na rosół. W skubaniu ptactwa dzielnie pomagał jej pan Kapusta, a nawet w pieczeniu i smażeniu, oraz w przygotowywaniu różnych ciast. Korepetytor wraz z Frycem, synem państwa Hozel, unikał, o ile to było możliwe, kontaktów z panią domu i powtarzał z nim sentencje łacińskie:

— Mężu kochany, od tej inspekcji zależy cała nasza egzystencja i nasz los dalszy — powtarzała nerwowo małżonka pana zawiadowcy odcinka kolejowego i kto wie, ile słuszności zawierało to twierdzenie.

I oto w pewnej chwili wpadł do kancelarii pan Kapusta i zameldował panu zawiadowcy, że od stacji zbliża się w kierunku kancelarii jakiś obcy i elegancko ubrany pan. Rzeczywiście po upływie kilku minut wszedł do kancelarii inspektor. Przywitał się z panem zawiadowcą, kancelistą i jego pomocnikiem, usiadł przy biurku i na razie wypytywał o to i owo z zakresu pracy na odcinku kolejowym. Pan Hozel udzielał odpowiedzi ochrypłym, skrzępczym głosem, prawie bezdźwięcznym, ale inspektor jako fachowiec widocznie rozumiał treść wypowiedzi pana zawiadowcy, chociaż na skutek zdenerwowania pod względem formy i stylu pozostawały one wiele do życzenia. Inspektor przejrzał następnie dość powierzchownie ważniejsze akta kancelarii i zabierał się do dokładniejszego studiowania dokumentów, gdy pan Hozel w bardzo uniozonej pozycji wyraził zaproszenie na skromny posiłek do mieszkania. Inspektor zapowiedział więc dalszą kontrolę po spożyciu posiłku i skorzystał z zaproszenia. Pani Hozel z najśłodszy uśmiechem na twarzy, w uniozonych pokłonach i lansadach zapraszała do stołu, a gdy już pan inspektor usiadł na honorowym miejscu w wysycielnym fotelu, wznosiła toasty z oczami wzniesionymi ku niebu i pełnymi obłudnych lez, napełniając różne kieliszki różnymi spirytualiami. Posiłek spożywali wspólnie z inspektorem tylko oboje państwo Hozel (Fryc miał polecenie uczyć się z korepetytorem w swoim pokoju), do stołu usługiwała panna Joasia wraz z panem Kapustą.

Zjedzono zimne przekąski i wypito sporo różnych wódek, gdy na stół podano pieczonego drobiu. Spożywanie drobiu odbywało się w tempie o wiele wolniejszym, czy to pod wpływem działania upału, czy też dlatego, że drób, pieczony w pośpiechu, gdy mięso nie jest skruszałe, był w dużym stopniu „lykowany” i wymykał się na talerzu atakom widelców i tępych noży, a zarówno gość jak i państwo Hozel wstydzili się ująć pieczone w palce, co zwykle w domu czynili, dość powiedzieć, że nastrojów przy stole stał się niewesoły i atmosfera ciężka, choć pani domu nadrabiała uśmiecha-

IGOR SIKIRYCKI

## Międzygwiezdni

wylądują tam w Kolchidzie,  
w kropli deszczu.  
Międzygwiezdni  
wylądują na twej dłoni,  
którą wzniesiesz do otarcia łzy.  
Międzygwiezdni  
wylądują na twej dłoni,  
kiedy puls jej ściśnie śmierć.  
Międzygwiezdni  
wylądują na twej dłoni,  
gdy w niej zacznie stygnąć krew.  
Pierwszy powie głosem ptaka:  
Nie ma gniazd.  
Drugi powie głosem ryby:  
Nie ma rzek.  
Trzeci powie głosem ognia:  
Nie ma drzew.  
Czwarty powie głosem wody:  
Nie ma dna.  
Piąty powie głosem wiatru:  
Nie ma nic.  
Wtedy ja zawołam:  
Jest nadzieja! —  
Ale ich nie będzie już.



— Co może skłonić prozaika — jakie wewnętrzne potrzeby, jakie artystyczne przyczyny — do sięgnięcia po pióro dramaturga?

— Jeśli mojego „Prometeusza” ma pan na myśli, nie wchodziły w grę ściśle literackie przyczyny, żaden świadomy wybór tej formy podawczej, jaką jest dialog. Proszę się w to wczuć, że przez siedem lat pisałem „Miazgę”. Ta powieść, powieść, która się niebawem ukazuje, ciągle mi się w trakcie pisania zmieniała, a nawet jej akcja stale przesuwała się w czasie, coraz bliżej obecnych chwil. I byłam już po prostu tak umęczony ślęceniem nad tym utworem, pozostawiałem sam na sam z kartką papieru, że z prawdziwą ulgą pomyślałem o teatrze, o zetknięciu się przez nową formę z tą zbiorowością, jaką stanowi teatr, a co było mi tak już potrzebne.

— W takim razie, jak powstał sam pomysł „Prometeusza”?

— Żeby sięgnąć do jego genezy musimy pomówić jeszcze trochę o „Miazdze”. Zajmuje się ona m. in. sprawami treści i formy w sztuce, sama przy tym rozbiłając formę powieściową. Jest to jakby dziennik, w którym odwołuję się do książek napisanych, komentując je. Otóż jednym z bohaterów książki jest wielki aktor, któremu przypadło grać rolę tytułową w „Prometeuszu skowalnym” Ajschylosa. Trzeba więc było posłużyć się tym tekstem, ale dawne tłumaczenie Srebrnego nie mogło mnie (ani też chyba

mojego bohatera) zadowolić. Sam przetłumaczyłem fragment, po czym przychylił mi otoczenie nakłoniło mnie, żebym zabrał się do tłumaczenia całości. I z tego zamiaru narodził się ostatecznie, niezależny od antycznego pierwowzoru, utwór sceniczny, który, jak myślę, ma mimo wszystko walory sceniczne. Jestem zresztą pełen uznania i podziwu dla dy-

— Ale zgadzam się z tym, oczywiście. W utworach, w których słowo odgrywa podobną rolę co w poezji lirycznej, gdzie forma staje się nierozdzielna z treścią, rodzajowa odrębność schodzi na dalszy plan. Ja w „Miazdze” — i ma to chyba coś do rzeczy — wkładam w usta bohatera wiersze, przeze mnie dla niego napisane, a znów w „Pro-

niecznie wypowiedzieć i wyrzucam z siebie wszystko bez wycchnienia, myśląc przede wszystkim obrazami. Przychodzi wy-czerpanie, a potem nowy zryw.

— Ale zbiera Pan chyba przedtem jakiś materiał, korzysta Pan z niejako gotowych faktów i wątków z życia, pomaga Pan sobie w konstruowaniu jakiejś rzeczywistej topografią miejsc znanych, a potem dopiero to przetwarza?

— Pisarz jest jak gąbka, niepostrzeżenie nasiąka wszystkim, co go otacza, bez selekcji i wyboru, a jednocześnie też „kradnie” wszystko, co mu się nawinie. Oczywiście, przetwarza w sposób sobie właściwy. Mówię o sobie, podzieliłbym jednak pisarza — i będzie to dość umowny podział — na opisujących wiersze wypadki i piszących o sobie.

— A co to znaczy — współczesny?

— Uważam, że jeśli pisarz ma w sobie dość elementów łączących go ze współczesnością, to mówiąc o sobie, pisze o współczesności.

— Ciekaw jestem ogromnie, który z pisarzy nowszej epoki jest Panu szczególnie bliski?

— Nadzwyczajnie podziwiam bogactwo twórczości Tomasza Manna, niepospolity intelekt tego pisarza, współczesność wielu poruszanych przez niego problemów, swoisty sposób realistycznego przedstawiania. Zagadnął pan o rolę topografii w konstruowaniu dzieła literackiego. Kiedyś w Paryżu wybrałem się na po-

szukiwanie uliczki i domu — tak dokładnie przez Manna opisaną w „Wyznaniach hochsztaplera Krulla”, gdzie bohater spienił ukradzione kosztowności. Krążyłem po uliczkach starego Paryża, wymienionych w powieści, ale też właśnie nie było. To jako przyczynek do kwestii topografii i ... realizmu.

— Zdaje sobie sprawę, że pytałem autora, co chciał przez to lub owo powiedzieć w swoim dziele, jest niestosowne, toteż może on zalecić pytającemu wnikliwą lekturę tekstu lub — jak w tym wypadku — doradzić też ponownie pójście na przedstawienie. Przypuszczając jednak, że żadna opinia nie jest autorowi całkowicie obojętna, chciałbym przynajmniej się zorientować, że odczytałem „Prometeusza” nie tylko jako dramat władzy despotycznie wynaturzonej, dramat, który mógł się dziś już ukazać, lecz również jako niezwykle przygnębiającą tragedię bohatera, który nawet zwykłym ludziom staje się niepotrzebny. Bardzo pesymistyczna, choć może nie aż tak jednoznaczna jest dla mnie wymowa tego dzieła.

— Pesymizm też mieści się w wieloznacznym oddziaływaniu utworu. A ponadto — czy może istnieć całkowite porozumienie pomiędzy autorem i odbiorcą? Dobrze, jeśli sztuka wywołuje przeżycia, pobudza do refleksji...

Rozmawiał:

JERZY KWIECIŃSKI

## Jerzy Andrzejewski o swojej pracy

rektora Zegalskiego, że się wystawienia też sztuki podjął.

— Kiedy czytałem przedstawiłem tekst Pańskiej sztuki, myślałem nie tyle o jej sceniczności, ile o tym, że jest to wyprawa prozaika w dziedzinę poezji. I przypomniało mi się, co pisała niedawno Szymborska o bezprzedmiotowości rozgraniczania różnych dziedzin literatury, różnych rodzajów literackich, ponieważ granica pomiędzy nimi jakby nie istnieje. Sądzę, że odnosi się to tylko do utworów pełnowartościowych artystycznie i ogranicza raczej do literatury współczesnej...

meteuszu”, przyznam się, skrupulatnie obliczałem metrum.

— Dostuchałem się bardzo szczęśliwego w skutkach spożytkowania metaforyki Homera, w tłumaczeniu Parandowskiego. Bo bardzo pięknie brzmią i dobrze osadzone są w stylistyce pańskiej dzieła owe „słowa wylatujące zza przegrody zębów”...

— O, niejedną to świadoma aluzja. Ale właśnie z tą świadomością środków to jest u mnie tak, że dołącza się ona i oponuje w późniejszym stadium — pracę nad formą. Rozpoczynam pisanie pod wpływem silnego impulsu, kiedy muszę się już ko-

PAWEŁ SAMUŚ

## Monografia łódzkiej PPS

Czytelnicy interesujący się polskim ruchem socjalistycznym otrzymali nową pozycję — Wydawnictwo Łódzkie wydało w 1971 r. pracę Ludwika Mroczińskiego pt.: „ŁÓDZKA ORGANIZACJA POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ W LATACH 1918—1926”. Książka jest kontynuacją badań Władysława Lecha Karwackiego nad problematyką ruchu socjalistycznego w okręgu łódzkim, których wynikiem stał się m. in. monografia „Łódzka organizacja PPS-Lewic w latach 1906—1918”.

Podstawę badań autora, obok bogatej literatury historycznej i pamiętnikarskiej, stanowiła wielka ilość zespołów archi-

walnych, jak również imponująca kwerenda prasowa. Przy pisaniu autor zastosował koncepcję chronologiczno-rzeczową.

Łódź, jeden z największych ośrodków koncentracji przemysłu i klasy robotniczej, odgrywała istotną rolę w życiu społeczno-politycznym i gospodarczym Polski międzywojennej. Odnosiła się ona specyfiką swego proletariatu stanowiącego bogatą mozaikę narodowościową i polityczną tworzącą większość społeczeństwa łódzkiego. Wszystko to wywarło wielki wpływ na taktykę i założenia programowe PPS, decydowało o wpływach i sukcesach.

W latach 1918—1926, w okresie ustroju parlamentarnej demokracji, odzyskania i budowania niepodległości, wybuchających kon-

fliktów społecznych, istniała wielka płynność nastrojów politycznych łódzkiej klasy robotniczej.

PPS uzyskała przodującą pozycję w Łodzi w latach 1918—1919, a więc w okresie narastania fali rewolucyjnej i wielkiego entuzjazmu po odzyskaniu niepodległości. Zdobyła wówczas w wyborach do Sejmu Ustawodawczego 21,3 proc. i w wyborach samorządowych 30,0 proc. głosów i większość w radzie miejskiej. W latach 1920—1922 PPS traciła wpływy w związku z przesunięciami nastrojów politycznych klasy robotniczej, z jednej strony na korzyść NPR i chadecji, z drugiej zaś KPP. Zaczęła PPS odzyskiwać dawny stan w okresie narastania walk klasowych 1923—24 i szerzenia się kryzysu walutowego.

Analiza wpływu łódzkiej organizacji PPS, dała autorowi pracy okazję do zweryfikowania ustaleń w historiografii sądów, iż solidarystyczny ruch robotniczy opierał się na mało uświadomionych elementach robotniczych, przy czym awangarda ruchu robotniczego określano proletariatem wielkofabrycznym, wielkoprzemysłowym. Teza ta zdaniem autora generalnie jest słuszna, natomiast w łódzkim środowisku robotniczym nie znajduje potwierdzenia. W środowisku robotników wielkich fabryk, np. w jednej z największych łódzkich fabryk J. K. Poznańskiego NPR zdobyła i utrzymywała dominację wpływy w omawianym okresie.

PPS była partią reformistyczną i uwidoczniło się to również w koncepcjach i działalności organizacji łódzkiej, choćby w tym, iż w jej programie samorząd komunalny miał być jednym z istotnych środków, prowadzących do przeobrażeń społecznych w kierunku socjalizmu.

Autor książki pokazał również ewolucję polityczną łódzkiej PPS i jej miejsce w organizacji krajowej.

Z dorobku łódzkiej PPS na czołowe miejsce wysunęły się osiągnięcia w dziedzinie oświaty i jej krzewienia (wprowadzenie przez samorząd obowiązku powszechnego nauczania) i szerzenia kultury (TUR, OMTUR), spraw ważnych dla podniesienia poziomu łódzkiego środowiska robotniczego.

Łódzka PPS nie osiągnęła większych sukcesów organizacyjnych w latach 1918—1926, niemniej wydała lub działała w niej przez pewien okres czasu wielu działaczy znanych w skali krajowej, m. in.: A. Purlal, S. Rapalski, A. Rzewski, J. Danielewicz, A. Napiórkowski, S. Kopicński, B. Ziemięcki czy A. Szczerkowski bliżej związany z macierzystą organizacją pabianicka.

Praca L. Mroczińskiego jest istotnym osiągnięciem w dziedzinie badań nad dziejami PPS, w szczególności jednej z ważniejszych jej organizacji okręgowych; na drodze do lepszego zrozumienia jej wpływu politycznych, struktury, form pracy itp. Monografia, będąca w isto-

cie typową rozprawą naukową, dzięki zaletom językowo-stylistycznym i przejrzystej konstrukcji posiada formę dostępną dla szerszego grona czytelników. Zaopatrzona jest ponadto w ilustracje, aneksy, bibliografię, indeksy nazwisk i plan Łodzi z podziałem na dzielnice partyjne PPS.

Książka będzie pomocna z pewnością nie tylko specjalistom ale, i szerszym kręgom interesujących się polskim ruchem robotniczym i dziejami Łodzi.

W następnym numerze

„ODGŁOSÓW”:

- MONIKA WARNEŃSKA — Bał w sajońskich operze.
- JAN KOPROWSKI — Odwiedziny u Melchiora Wańkowicza.
- KAROL BADZIAK — Pobili się dwaj górale...

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

### Przeszłość i teraźniejszość

Zbiór esejów francuskiego historyka Fernand Braudela pt. „Historia i trwanie”, który ukazał się niedawno w staraniem „Czytelnika” (1971) postawiłbyśmy chętnie na półce tuż obok słynnych „Bójów o Historię” Lucien Febvre’a. Nie tylko dlatego, że jest Braudel jego uczniem i następcą, także ze względu na podobieństwo formy, stylu uprawiania ogólnej refleksji naukowej, jak również — jeżeli nie przede wszystkim — ze względu na podobieństwo problemów, niekiedy także i ujęć. Ma Braudel żywą świadomość swego związku z tradycją kierunkową, z którego wyrósł, mianowicie tzw. szkoły „Annales”, najciekawszego bodaj nurtu w historiografii francuskiej międzywojennej dwudziestolecia. Akcentuje, że kierowane przezeń czasopismo kontynuuje dzieło jego twórców i poprzednich redaktorów i buduje zręby nowej nauki historycznej, która „próbuję opierać się

na całości nauk o człowieku”. Jednakowoż, mimo częstego podkreślania, że nie „zdradza” zasadniczych idei swoich mistrzów, a może przeciwnie, właśnie dlatego, że wciąż go one inspirowały, wrogie wszelkiemu intelektualnemu skostnieniu, wszelkiej petyfikacji już raz po-wiedzianych sądów, jest przecież w swoich ujęciach nieraz bardzo od nich inny. A może nie tylko on, może inny jest dzisiaj cały kierunek, wciąż określany mianem „szkoły Annales”?

Jest Braudel historykiem „długiego trwania”. Kończąc swój wykład na Uniwersytecie Warszawskim w 1967 r., w którym szkicował koncepcję historii „operacyjnej”, powiedział: „Historia, to studium społeczeństw dawnych i dzisiejszych, rozpatrywanych wedle tej szczególnej zmiennej, jaką posługują się historycy — trwania. Nie czas — jeden i jednolicie linearny — lecz wiele czasów, różnych wymiary czasowe, war-

stwowo nakładające się trwania”. W wywiadzie, jakiego uczony udzielił przed kilkoma laty jednemu z polskich tygodników, myśli te formułował innymi słowami: „Badając przeszłość, historyk ma do wyboru różne wymiary czasu, różne trwania. I powinien wiedzieć, że historia staje się nauką wybierając czas długi jako naturalne ramy rozumienia przeszłości. Historyk może się mylić w rozumowaniu o czasie kró-

tmu, broni integralnego oglądu świata wbrew aktualnym i wciąż aktualizującym się tendencjom atomistycznym, tak samo jak od swej własnej dyscypliny, również od innych wymaga wykraczania poza wydarzenie. Dostrzega niebezpieczeństwa tradycjonalizmu nie tylko w najstarszej z nauk o człowieku — historii, ale zauważa, że ulegają mu w niemiernym stopniu dyscypliny, mające nieraz bardzo młodą metrykę, skłonne do epatowania nowatorstwem, które przy bliższym oglądzie okazuje się nad wyraz wątpliwie. Jeżeli powiada, że w płaszczyźnie długiego trwania historia nie tylko spotyka się z socjologią, ale nawet w istocie rzeczy z nią się identyfikuje, ma na myśli nie tylko długie trwanie, ale także odnowioną socjologię, taką, która pozwoli się wyzwolić z iluzji krótkoczasowego wydarzenia, z naskórkowego postrzegania zdarzeń w krótkiej perspektywie czasowej, przestanie być taką, jaką wszak jest w swojej ogromnej większości, tą

miary klasyczne: wydarzenie — koniunktura — długie trwanie, wydobycząc ich wzajemne powiązanie. Problem ten nie ogranicza się do historii, dotyczy w ogóle nauk społecznych, zachowuje swój walor także w odniesieniu do badań nad współczesnością”.

Orełownik nauk o człowieku w długim trwaniu, jest Braudel nie tylko przeciwnikiem tradycjonalnej historii „wydarzeniowej”, ale podejmuje równocześnie atak na taką socjologię (zwłaszcza socjometrię), ekonomię, etnologię i wszystkie inne nauki o człowieku, te, w których obserwuje te same objawy zawężania badawczej perspektywy, krótkoczasowy koniunkturalizm czy nawet tendencje antyhistoryczne. W przekonaniu, że nie ma i być nie może ścisłych granic między poszczególnymi naukami społecznymi-

### Historia i trwanie

kim, może w stadium rozwoju koniunktury tylko zbliżyć się do kształtu prawdziwego, gdy jednak myśl jego obejmuje polacie wielkiego trwania, długotrwałej tendencji, słowem, pasmo dziejowe na dużych przeszczeniach czasu — wtedy ma możliwość rozumienia i naukowego badania. Ta historia długiego oddechu nie jest wyborem tylko jednego wymiaru, łączy ona trzy wy-

właśnie, która — jak powiada Braudel — „przepełnia nasze biblioteki, kartoteki rządów i przedsiębiorstw”.

Eseistyczne, ujęte w piękną literacką formę (którą nie zawsze w pełni oddaje przekład) rozważania Braudela nie mają nic wspólnego z niemiecką skłonnością do systematyzacji i definicjonowania. Uczony nie stara się o kodyfikację czegokolwiek, ale o uchwycenie myśli w jej biegu, konkretyzacje, którą mogłaby zapłodnić jego samego i innych do dalszych, coraz nowych przemyśleń. Nie pragnie niczego wyzerować, niczego zamknąć, nie formułuje żadnych reguł, ani tym bardziej recept na naukowe nowatorstwo. Jest wręcz przeciwnie. Jest wręcz przeciwnie, kiedy podejmuje rozważania futurologiczne i głosi wiarę w heterogeniczność, różnorodność i wielość cywilizacji. W ich rozwoju, wzajemnej rywalizacji, wreszcie dyfuzji upatruje przyszłość i sprzeciwia się wszelkiej futurologii uniformistycznej. Warto czytać Braudela.

JÓZEF GRZELAK



**N**IM przejdę do omówienia premierowego przedstawienia „Prometeusza” Jerzego Andrzejewskiego w Teatrze Nowym\*), skorzystam z okazji, by zasygnalizować, że zaistniały w łódzkim życiu teatralnym zjawiska, które można — z zachowaniem ostrożności — poczytać za oznaki wychodzenia z głębokiego kryzysu, który trwa około dziesięciu lat.

Taki Mniej więcej od lat dziesięciu (co tu kryć? od odejścia Dejmka) Melpomena łódzka była w odwrocie. Ustala moda na wybieżki teatralne do Łodzi, nie tylko Warszawa i Kraków, ale Wrocław, Gdańsk, Szczecin i Lublin wykazywały więcej ambicji od Łodzi. Drugie co do wielkości miasto w Polsce stawało się prowincją teatralną (i nie tylko teatralną) w całym pejoratywnym sensie tego słowa.

W ostatnich miesiącach stwierdzić da się z satysfakcją, iż coraz częściej stykamy się na scenach łódzkich z manifestacjami artystycznymi, nawiązującymi do najlepszych tradycji teatralnych naszego miasta. Recenzentowi daje to szczególną szansę, jakiej nie miał omawiając przez lata całe produkcje teatralną nie wyrastającą nad poziom poprawności.

Jeżeli poniżej spierać się będę o „Prometeusza” i ze znakomitym Autorem i z teatrem, to czynię to w przekonaniu, że oferuje nam się dzieło wysokiej próby, z którym można się nie zgadzać, ale którego nie sposób nie docenić. „Prometeusz” w Teatrze Nowym jest prapremierą polską tej sztuki, jest co więcej jakby powrotem pisarza Jerzego Andrzejewskiego po latach milczenia. Już to samo przyczynia się do wytworzenia wokół spektaklu atmosfery wydarzenia artystycznego.

Minęło piętnaście lat od prezentacji przez Teatr Nowy głośnego widowiska „Ciemności kryją ziemię”, będącego adaptacją powieści Jerzego Andrzejewskiego. Tamten utwór był próbą rozliczenia się autora (i teatru) z praktyką tzw. okresu błędów i wypaczeń. Spod umownego kostiumu hiszpańskiej Inkwizycji wzywała jawna aluzja do współczesności, nasycona rozczarowaniem i generalnym zwątpieniem.

Po latach milczenia Andrzejewski znów przemawia z tej samej sceny, podejmując problem władzy i prawa do buntu przeciw jej tyranii. Sprawy te rozpatruje w wymiarze filozoficznym i uniwersalnym — w oparciu o mit antyczny, parafrazując dramat Ajschylosa „Prometeusz w okowach” (tytuł podaje zgodnie ze świętym przekładem Stefana Srebrnego).

Mit o Prometeuszu funkcjonuje od 2500 lat w świadomości społecznej jako symbol. Pojęcie prometeizmu stało się równoznaczne z buntem przeciw niesprawiedliwej władzy i ofiarą dla dobra ogółu. Tytan Prometeusz sprzeciwił się woli Zeusa i przekazał ludziom tajemnicę ognia, by ulżyć ich doli. Za to szlachetne zachowanie przykuty został na wieki do skały w scytyjskim pustkowiu górskim, gdzie orzeł wyżerał mu wątrobę.

Podejmując mit prometejski w swej sztuce, Andrzejewski wznowia dyskusję o władzy w tym samym mniej więcej miejscu, w którym przerwał ją przed piętnastu laty. Jest w tym pewien godny szacunku upór indywidualisty, ale i anachronizm, głuchy na doświadczenie społeczne i jakby wpisujący w podtekst sztuki elementy autobiograficzne.

W swoim wadzeniu się z władzą uosobioną przez bogów na Olimpie, Prometeusz Andrzejewskiego snuje psychoanalityczną myśl, że tyrania nie ma autentycznego, realnego bytu, lecz jest tylko koszmarem sennym, od którego ludzkość może się wyzwolić przez przebudzenie. Przebudzenie to zresztą w sztuce następuje za sprawą Heraklesa, ale wyzwolony z pęt Prometeusz ginie z rąk ludzi, na których wdzięczność nie ma co liczyć. Tym pełnym głębokiego pesymizmu akcentem kończy się sztuka Andrzejewskiego. Sztuka, której piękno łatwiej podziwiać, niż godzić się z jej wymową filozoficzną.

„Prometeusz”, ogłoszony w roku ubiegłym drukiem w „Twórczości”, jest w zasadzie asceniczny. Przez gęsty od metafor i skojarzeń dialog łatwiej się przebić w lekturze, niż słuchając go ze sceny, gdy do myśli raz przebrzmiałe nie można wrócić. Sztuka pozbawiona jest niemal akcji,

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

# PROMETEUSZ czyli mit o władzy i buncie



Elżbieta Jasińska i Bogusław Sochnacki.  
Fot.: A. Brustman

a ruch sceniczny w założeniu swym zredukowany został do minimum.

Z tych względów wzięcie na warsztat tego tekstu było ze strony teatru i reżysera przedsięwzięciem tyleż ambitnym, co ryzykownym. Jerzy Zegalski, posunął się jeszcze dalej w ograniczeniu środków ekspresji, wkładając wszystkim wykonawcom — z wyjątkiem protagonisty — maski na górną część twarzy.

Spektakl osadzony został przez Andrzeja Sadowskiego w pięknej ramie scenograficznej, której dół stanowiła skała z przykutym do niej, prawie nagim, rozkrzyżowanym jak Chrystus, Prometeuszem. Górę skały zwieńcza złocisty Olimp, przypominający ołtarz barokowy z bogami zamierającymi w bezruchu niby świątki w kapliczkach. Piękna plastycznie dekoracja, tylko dlaczego barokowa?

Stacyczna scenografia i stacyczna koncepcja inscenizacyjna nie ułatwia odbioru przedstawienia, które momentami dłuży się, ale wzmocniona muzyką nadaje mu pewną uroczystą godność i powagę, która powoduje, że widownia uczestniczy w nim jak w nabożeństwie.

Aktorzy, pozbawieni dużej części środków wyrazowych (ukryte twarze, bezruch), mają zadanie nielatte. Sprowadza się ono głównie do sposobu przekazywania tekstu. Znakomicie wypowiada swoje tryady Bogusław Sochnacki (Zeus). Szkoda, że nie dorównuje mu w partnerstwie Elżbieta Jasińska jako Hera, której głos łamie się i nie nadaje słowom należytej wagi. Grający Prometeusza Zbigniew Józefowicz odpowiednio stopniował napięcie dramatyczne, pokonując wielki trud fizyczny związany z tą rolą. Z innych wykonawców wyróżniam Różę Czaplewską (Temida), Marka Barbasiewicz (Hermes) i Elżbietę Starostecką (Io).

\*) Teatr Nowy — Studio Współczesne (Duża Scena): JERZY ANDRZEJEW-SKI „Prometeusz”, sztuka w 2 częściach; inscenizacja i reżyseria — JERZY ZEGALSKI; współpraca reżyserka — TADEUSZ SCHMIDT; scenografia — ANDRZEJ SADOWSKI; muzyka — JERZY BAUER; ruch sceniczny — JOZEFA ŚLAWUCKA; premiera prasowa — 24. II. 1972.

GUSTAW ROMANOWSKI

## W STRONĘ TECHNIKI

**W** 1968 roku wystawiła w Łodzi grupa „N” z Padwy, grupa zaliczająca się do nurtu Nowej Tendencji, a ściślej do sztuki wizualnej, op-artu. Była to jedna z niewielu wystaw sztuki nowoczesnej, która cieszyła się wielką frekwencją i która potrafiła dać wszystkim zwiedzającym wiele dobrej rozrywki. Zal więc było, kiedy mieniące się, wibrujące kolorem, ruchem i światłem, a nawet klekoczące eksponaty zostały zdemontowane i powróciły do Włoch.

W międzyczasie grupa jako całość rozpadła się. Młodzi jej członkowie rozeszli się do różnych, nie zawsze artystycznych zajęć. Sztuką zajmuje się tylko jeden członek grupy „N” konsekwentnie kontynuując doświadczenia w zakresie wizualizmu — Alberto Biasi. I właśnie Biasi jako jedyny z tej grupy powrócił do Łodzi ze swoją indywidualną tym razem wystawą.\*)

Przez kilka ostatnich lat Alberto Biasi — najbardziej zdyscyplinowany twórca z grupy — posunął się dalej ku kondensacji formy, ku precyzyjniejszej klarowności swej sztuki. Stawiając na maksymalne uproszczenie wizualizmu, na sprawdzenie działania dzieła sztuki do czystej, abstrakcyjnej percepcji wzrokowej, Biasi prezentuje się dziś jako artysta konstruujący wyłącznie światło i ruch.

Przemysłnie proste konstrukcje z pasków polietylenu, tzw. „politiipi” są projektorami pięknych i delikatnych geometrycznych zbudzeń wzrokowych. Najmniejszy ruch widza, drgnienie, zmruczenie oczu powoduje pozorną i pełną migotania ruchliwość tych „obrazów”. Pozoracja ruchu jest tak dokładna, tak precyzyjna i tak jednocześnie dla widza niewymierna, że przyjmuje się te proste w zamyśle konstrukcje jako niemal cyrkową ekwilibrystykę. Biasi nie powtarza kodów zalamujących światło w poszczególnych kompozycjach; tu każdy obraz jest zbudowany na odrębnych zasadach, inaczej pozoruje ruch. W pracy artysty jest coś z działania konstruktora skomplikowanych urządzeń technicznych — taka sama dokładność, niezawodność poszczególnych elementów, znakomite działanie całości.

Bo jest to właśnie sztuka, której istotą jest działanie rozumiane w kategoriach fizycznych, a nie psychicznych. Działanie zmierzające do włączenia widza w aktywne tworzenie dzieła sztuki, poprzez swobodę w zakresie wyboru miejsca stania odbiorcy wobec obrazu, sposobu poruszania się i patrzenia. Dlatego też „politiipi” Biasiego są bliżej oddziaływaniu maszyn i urządzeń tradycyjnie pozaartystycznych niż przedmiotów sztuki, choć przecież w zamierzeniu swoim są tylko i wyłącznie przedmiotami sztuki.

Ale sztuka optyczna nie zadowala się dziś jedynie pozoracją ruchu, adaptuje ona do własnych potrzeb również ruch rzeczywisty. Biasi konstruuje dziś również tzw. „modulatory” wykorzystując do tego ruch wirowy odpowiednio zestawionych pryzmatów, na które działa źródło światła. Na wystawie w Muzeum Sztuki Biasi pokazał specjalnie na tę okoliczność zmontowaną komorę ciemniową ze znajdującymi się w niej modulatorami światła. Dzięki systemowi wirujących z różną szybkością czterech pryzmatów, dwóch stałych źródeł światła i obudowy z luster otaczających krawędzie komory, widz może uczestniczyć sam w czymś w rodzaju misterium świetlnego, chodząc i przesłaniając sobą przesuwaające się w ciemni promienie światła.

Sztuka Biasiego jest dziś sterylnym przykładem nowej estetyki industrialistycznej kultury, bo rodzi się ona jako uzupełnienie cywilizacji czysto technicznej, celowej i wymierzalnej. Jej posłannictwo jest artystyczne, ale nie wynika ono z opozycji, czy choćby dyskusji prowadzonej z kultem techniki. Zadaniem sztuki, proponowanej przez Biasiego jest towarzyszenie cywilizacji technicznej w tworzeniu wizji świata odartego z form naturalnych, wizji, gdzie cały krajobraz zawdzięcza swoje istnienie wyłącznie myśli i rękóm człowieka. I w tych granicach twórczość Alberto Biasiego jest propozycją pogodzenia konfliktu, który powstaje między światem sztuki i światem techniki. Biasi likwiduje ten dysonans w drodze całkowitej akceptacji i podporządkowania sztuki technice.

\*) Alberto Biasi — DZIELA NAJNOWSZE — Muzeum Sztuki w Łodzi, styczeń—luty 1972.

inteligentnym, nawet jeśli jest on moim przyjacielem. Prawdopodobnie mogą sobie pozwolić na zarozumiałe mniemanie, że jest on moim przyjacielem, ponieważ jest inteligentny, albo co najmniej, że stał się moim przyjacielem części-

GILBERT KEITH CHESTERTON

## O klikach literackich

**W**IELE ludzi narzeka na kliki w świecie literatów i mają oni rację, jakkolwiek nie jestem pewien, czy są tej racji świadomi. To ich niezadowolone, jak tyle innych rodzajów dezaprobaty, ma pewną cechę ujemną, tę mianowicie, że nie czyni różnic między zwyczajnymi dolegliwościami naszej egzystencji a niewygodami, jakie niesie ze sobą tak zwane życie nowoczesne. Jest oczywiste, że w żadnym wypadku nie powinniśmy utrzymywać stosunków na równej stopie ze wszystkimi, ani starać się o upowszechnienie bezstronnej sprawiedliwości wśród wszystkich bliźnich; otrzymamy ją na sądzie ostatecznym. Jest też czymś naturalnym, że ludzie się stowarzyszą, jak oczywiście jest również i to, że ci, którzy do tych stowarzyszeń (klubów) nie należą — nawiązują je klikami. Wyświadczanie sobie wzajemnych przysług jest równie łatwe jak zrażanie sobie ludzi. Zauważyłem np., że człowiek, który wspaniałomyślnie i entuzjastycznie foruje swego przyjaciela, nieuchronnie będzie narzekał na kumoterstwo wśród jego nieprzyjaciół.

wo dlatego, iż sądziłem, że jest inteligentny. Naturalnie współzależność ta może być celem łatwych oskarżeń; wszakże sposób, jaki zawsze wybieram, polega na chwalebnym publicznym zasług przyjaciela z takim ciepłem, na jakie mnie

dostrzegalne zło w klikach, w stowarzyszeniach, w klubach, które kulturywają jakieś szczególne odmiany kultury. Artyści w takiej grupie mają skłonności nie tylko do gadania o sprawach zawodowych, ale i warsztatowych. Więcej rozprawiają

o metodach produkcji niż o produktach doskonałych. Niezmyślnie gadaliwi studenci sztuki pokazują sobie swoje prace, zanim zostały ukończone i jak leniwi studenci sztuki upatrują w tym pretekst, by tych prac nigdy nie skończyć.

Dzieło doskonale przeznaczone jest dla świata, tak, dla tego łępego świata. Dzieło niedonoszone ofiarowuje się klasie, klubowi, klicie, jednym słowem — sympatykom. Inteligentnym pokazujemy nasze próby najgorsze, osiągnięcia rezerwując

dla tych „łępych” w poczuciu najwyższego i świętego obowiązku doprowadzanie wszelkiej manifestacji artystycznej do takiej ostrości wyrazu, by się mogły przebić nawet do mózgu łępaków... Jakiegokolwiek natury jest tworzenie — ma ono z pewnością naturę przekładną, jest tłumaczeniem czegoś z niemego alfabetu, z niejasnego, dziecięcego, sekretnego języka naszych własnych dusz — na całkowicie inny język publiczny, którym posługujemy się sami. Gdyby to przekonanie było pełne, gdyby pomysły i idiomy zgadzały się naprawdę, dla człowieka z ulicy wszystko byłoby tak proste jak dla człowieka w tajemniczego. Nie zachodziłaby wtedy potrzeba pokazywania tego we fragmentarycznych napomknięciach członkom kliki. Ponieważ wyrażamy się zazwyczaj nieprecyzyjnie, potrzebujemy przyjacieli, by tej niedokładności zaradzić. Człowiek naszego pokroju albo o naszych gustach zrozumie o co nam chodzi — zanim się dokładnie wypowiemy; o wiele wcześniej, niż się zdolamy dokładnie wypowiedzieć. W ten sposób staramy się pozbyć starych przeświadczeń na temat konieczności wypowiedziania się do końca. Sta-



**JAK WIADOMO**, w dobie telefonów sztuka epistolarna zanika. Z tym większą ciekawością sięgnąłem po „49 listów z powodu Braci Czeskich” Edwarda Martuszeńskiego. Jakież było moje zdumienie, gdy odkryłem, nieoczekiwanie, że jeden z tych listów adresowany jest do mnie. Dobry, stary obyczaj nakazuje odpisywać na listy. Pozwoli więc Pan, Drogi Autorze, że w pierwszym podziękuję za tę świetną książkę o „moim Zelowie”, który rzeczywiście jest osobliwością etniczną na terenie Polski. Historia tego miasteczka, to faktycznie historia emigracji czeskiej w naszym kraju.

Przed przeszło 150 laty osiedlili się w nim Bracia

miasteczku. Tak, był to człowiek wspaniały. Pisze Pan, że nie założył rodziny i dzięki temu mógł, łatwiej niż inni rewolucjonści, śpiąc z pomocą materialną potrzebującym. Ale Pan nie wie, że ten sam człowiek, posiadający jak na przedwojenne warunki zelowskie największą bezcenną bibliotekę prywatną, zmarł w czasie okupacji z głodu. Zmarł z głodu wśród ludzi. I to jest również Zelów.

Pan się Zelowem zachwyca, a ja go nienawidzę. Ale jak ja go Kocham! Proponuję Pan stworzenie tam muzeum, w którym znalazłoby się i stare krosno i kołwrotek i Biblia i konceja i bo ja wiem co jeszcze. Propozycja jest na pewno słuszna.

KAROL BADZIAK

## PIĘĆDZIESIĄTY LIST Z POWODU BRACI CZESKICH

Czescy, których potomkowie w liczbie ponad 700 osób mieszkają w Zelowie do tej pory. Zachowali swój język, obyczaje, religię i odrębność narodową. Po II wojnie światowej część wróciła, co prawda, do swej starej, nieznannej ojczyzny (witał ich sam Benesz), lecz widocznie za przyczyną nostalgia do miejsca urodzenia, każdego lata przyjeżdżają tutaj na urlop.

Przyznaję, że Pańska fascynacja Zelowem jest godna podziwu. Oczywiście różny jest nasz stosunek do tego miasteczka. Dla Pana jest to egzotyczna oaza w środku Polski, dla mnie jest to miejsce, gdzie znam każdego człowieka, każdy dom, ulicę, kamień i drzewo. Poświęcił Pan wiele czasu, ażeby zrekonstruować dzieje tej oryginalnej czeskiej osady. Serdeczne dzięki za rzetelność, wysiłek i trud oraz skrupulatność archiwisty. Praca jest naprawdę pionierska.

Wypomina mi Pan delikatnie, że mam pewne zobowiązania moralne wobec tego samego tematu, który Pan z tak dużym talentem rozwinął. Owszem, nie przeczę, lecz polączony jestem zbyt wieloma więzami rodzinnymi i resentymentami z Zelowem, ażeby stać mnie było na Pański historyczny obiektywizm. Dla Pana ludzie w Zelowie to prawie postacie literackie, dla mnie to znajomi, sąsiedzi, krewni i powinowaci. Dla Pana Zelów to folklor — ja mam zbyt żywo w pamięci prowincjonalną nędzę bytowania w tym miasteczku.

Wspomina Pan w swej książce o Soporze, starym komunście, samouku, który cieszył się dużym mirem w

Ale ja tego idyllicznego krosna i kołwrotka, co się tam przed i przed wrzuciono, nie cierpię. Mojemu ojcu od siedzenia za tym krosnem robiły się na poślādki strupy. Wreszcie się grzybiły nabawił, jak zresztą co drugi tkacz-chalupnik w tej osadzie.

Broni Pan Zelowa przed moją napaścią wyrodnego syna w reportażu pt. „Zanim powstanie os. przemysłowa”. Szlachetnie to z Pańskiej strony. Ale to, co dla Pana jest sielsko-anielską prowincją, dla mnie jest zaprawione gorczyca. Ten marazm, ta nuda i ordynarne ochłajstwo. Tak na marginesie, to tradycyjnym napojem zelowskich webrów przed wojną nie był wyłącznie spirytus z karmelem, lecz również anodyna.

Zresztą wcale się Panu nie dziwię. Mnie również oczarowuje prowincjonalność, ale innych małych miasteczek, choćby Szczercowa, Pałeczka, Uniejowa czy Bełchatowa. Ale nie zelowska.

A swoją drogą napisał Pan piękną książkę, bogatą w fakty historyczne, w ciekawe uwagi i spostrzeżenia, w obyczajowe osobliwości, anegdoty, a nawet legendy i wiersze o Zelowie. Osobiście bardzo mnie zainteresował list nr 34 na temat Pawła Hulki, czyli po prostu Pawła Hulki-Laskowskiego, którego przodkowie pochodzą z Zelowa. Okazuje się więc, że nie jestem pierwszym dziennikarzem, wywodzącym się z tej osady, miałam poprzednika i to wcale dużego formatu.

Proszę nieznám Tebe Pané Autor, do zobaczenia w Zelowie. Łączę pozdrowienia.  
BRAT POLAK

MICHAŁ STRZELECKI

# Przerwana zmowa milczenia

W listopadzie ub. roku na łamach „Odgłosów”, w artykule pt. „Zmowa milczenia” poddał krytyce przemilczanie, wręcz tolerowanie pewnych jaskrawych wypadków w naszym ruchu sportowym. Domagaliśmy się wówczas ujawnienia przed opinią publiczną tzw. sprawy kaperownictwa czy zakamuflowanej formy „sprzedaży” i „kupna” punktów mistrzowskich. Artykuł zakończyliśmy apelem: „Nie wstydźmy się i my mówić prawdy o postępowaniu niektórych naszych czołowych sportowców... Chcąc bronić sport przed oszczerstwami urzędami, trzeba wpiąć zdrowie atmosferę, jaka w nim panuje. Zmowa milczenia niczego nie rozwiązuje”.

No i wreszcie doczekaliśmy się odzewu na nasz apel. W stan oskarżenia przed Sądem Warszawskim postawionych zostało kilku piłkarzy. Rozpoczęło się też niebawem proces znanej narciarki, b. reprezentacyjnej zawodniczki kraju, Stefani Biegun, która zamieszana jest w wielką aferę przemycniczą pn. „Czerwona Oberża”. Nie uszedł tym razem bezkarnie przemyt alkoholu z Polski do Szwecji koszykarzom i ich opiekunom. Wszyscy winowajcy otrzymali wysokie kary sportowe oraz zakaz wyjazdów za granicę przez kilka najbliższych lat.

Ujrzała też światło dzienne próba przekupstwa hokeistów. Ujawniono ją dzięki sportowej postawie zawodnika stołecznej drużyny, Komorskiego i trenera mgra Jeżaka. Przekupni hokeiści zostali zdyskwalifikowani (dwóch z nich - Jaskierski i Migacz - nie wyjechało za to na Olimpiadę do Sapporo), ale nie wyciągnięto jeszcze dotychczas żadnych sankcji w stosunku do niejakego p. Januszewskiego, menażera z sosnowieckiego Zagłębia, który a'contto przegranego meczu zapłacił 10 tys. złotych. Miał on jeszcze w zanadru następne 10 tys. zł, aby kupić punkty w drugim spotkaniu, ale transakcja nie doszła już do skutku. Powstaje pytanie: „Skąd p. Januszewski miał pieni-

dze na ten cel?” Jak się orientujemy, nie jest on człowiekiem aż tak zamożnym, aby z własnej kieszeni szastać grubą gotówką dla zalatwienia takiej sprawy.

I tutaj dochodzimy do istotnego problemu, który wymaga radykalnego rozwiązania. Nie jest to sprawa nowa. Omawialiśmy już ją kiedyś w „Odgłosach”, wskazując, że zło tkwi w „lewych” kasach klubowych, pieniądzach społecznych przez nikogo nie kontrolowanych. Jak długo będą one w użyciu działaczy, poza wszelką kontrolą, tak długo będziemy świadkami kaperownictwa i przekupstwa. Społeczny grosz trafia do prywatnych kieszeni cwaniaków, zamiast być przeznaczonym na rzeczywiste potrzeby sportowe.

Dochodzi już do obłędnych wręcz historii. Koszt pozyskania w miarę dobrego piłkarza kształtuje się gdzieś w granicach 300-400 tys. zł! Część z tych pieniędzy otrzymuje klub, w którym dany piłkarz ostatnio występował, ale najmniej ze 100 tys. zł bierze zawodnik. Do tego dochodzi jeszcze urządzenie przybysza: kupno mieszkania i mebli. Wydatek też w granicach 100 tys. zł. A co robi zazwyczaj z pieniędzmi klub, który odsprzedał piłkarza? Przeznacza na kupno następnego. Tymczasem w wielu klubach piłkarskich Polski brak jest funduszy na stworzenie godziwych warunków szkoleniowych młodym adeptom piłki nożnej. A potem się dziwimy, że istnieje słaby dopływ utalentowanych zawodników do tej bardzo popularnej dziedziny sportu.

Ktoś po przeczytaniu tych słów może powiedzieć: „Przesada. Proszę podać konkretne przykłady, nazwiska sportowców, działaczy, miejsce zawarcia transakcji”. Nikogo jeszcze za rękę bezpośrednio nie złapaliśmy. To prawda. Swego czasu mieliśmy jednak okazję wysłuchać szczerzej „spowiedzi” jednego z b. reprezentacyjnych piłkarzy Polski na ten temat. Chociaż zdawaliśmy sobie



sprawę z tego, co w trawie kryje się, to jednak włos zjeżył się nam na głowie po wysłuchaniu jego opowieści. Szkoda, że świadkami tej rozmowy nie byli działacze klubowi. Może wówczas zdaliby sobie sprawę ze swego postępowania, które deprawuje młode charaktery sportowe.

Niektórzy działacze dziwnie pojmują współzawodnictwo sportowe. Chcą oni osiągać zwycięstwa swych drużyn przy pomocy pieniędzy. I oburzają się nawet,

kiedy zarzuca się im, że są złymi działaczami, złymi wychowawcami młodzieży. Oni przecież działają na korzyść swej drużyny, na korzyść środowiska, które reprezentują. A co mają polubić sobie sprawę ze swego postępowania, które deprawuje młode charaktery sportowe. Nie, dłużej nam już nie wolno tolerować wrzodów, jakie rozlały się na naszym organizmie sportowym. Trzeba je z całą bezwzględnością usunąć. Dla dobra sportu polskiego.

## POLONICA

„DWAJ POLSCY  
PISARZE”

Interesujący i przenikliwy esej zamieszczony w „Le Monde” z dnia 21 stycznia 1964 r. autorstwa młodej redaktorki i pisarki, Jeanine Wagener. Esaj ten nosi tytuł „Dwaj polscy pisarze pomiędzy absurdem a mitologią”. Chodzi o „Wniebowstąpienie” Tadeusza Konwickiego oraz o „Pałeczka” Adolfa Rudnickiego, wydane przez Gallimarda w Paryżu. „Wniebowstąpienie” ukazało się w świetnym przekładzie Jerzego Lisowskiego, który otrzymał niedawno najpoważniejszą francuską nagrodę za przekład, im. Halperina - Kamińskiego. Autorka eseju, zamieszczona w „Le Monde”, Jeanine Wagener, przenikliwie charakteryzuje piśmiennictwo Konwickiego, jego halucynacyjno-fantastyczny obraz nocnej Warszawy oraz technikę pisarską. Co do

Rudnickiego, recenzentka wspomina trzy jego poprzednio wydane po francusku książki, a o „Pałeczce” mówi, że można ją ustawić z „Adolfem” Beniamina Constant.

W. N.

LITERATURA  
KASZUBSKA  
PO NIEMIECKU  
I BRETOŃSKU

Do entuzjastycznych badaczy kultury Kaszubów należy Ferdinand Neureiter z Salzburga. Propaguje on literaturę kaszubską m. in. w Austrii. Ostatnio zamieścił on w wiedeńskim piśmie „Das Menschenrecht” artykuł, w którym przytoczył w własnym przekładzie wiersze kaszubskie. Wzbudziły one zainteresowanie m. in. w Bretonii, gdzie pojawił się ich bretoński przekład, bodajże pierwszy z literatury kaszubskiej. (er)

POLONICA

ramy się oswoić z myślą, że jest rzeczą klikli rozumieć autora a nawet objaśnić autora, jeżeli się sam przed objaśnianiem swoich myśli wzdrga.

Sławny esteta z lat dziewięćdziesiątych powiedział, że ten, kto jest podziwiany przez poetów, musi być największym z poetów. Pozwolę sobie w to wątpić. Odnoszę wrażenie, że w takim wypadku poeci po prostu współpracują z tym poetą. Piękno, które widzą w jego dziele jest w części tak samo ich dziełem jak jego. Jeżeli poeci potrafia więcej niż inni dostrzec w rzaku czy chmurze, mogą dostrzec więcej niż inni w każdym zwrocie czy metaforze. Nade wszystko zaś, jeżeli są poetami tej samej szkoły poetyckiej, odgadną w najdziwniejszym zwrocie i najgłupszej metaforze „co poeta miał na myśli”. Nie oznacza to, że słowa, których użył, stawały pełny i doskonały wyraz tego, co zamyslał; gdyby takimi były, nie wydawałyby się tak szalone ani dziwaczne. Mówiąc krótko, poeta nie odbył całej pielgrzymki z Raju do Putney\* (z przeproszeniem ducha Swinburne'a), wysłałczy wybranych i wybrednych dusz z Putney

wyszli mu naprzeciw i spotkali go w połowie drogi. Nie wypełnił do końca misji literata, jaką jest przetwarzanie żywych myśli w literaturę. Ciągłe jeszcze sam potrzebuje tłumacza. I tłum tłumaczy wypycha się natrętnie między poetę i jego publiczność. Tym tłumem jest klika i wyrządza ona, jak sądzę, pewną szkodę, przerywając zdrowy proces doskonalenia się środków wyrazu tego człowieka. Owo zło nie zasądza się na skłanianiu wielkiego człowieka do mówienia. Polega ono raczej na tym, że zniechęca w istocie wielkiego człowieka do mówienia w sposób jasny. Kapłani i kapłanki świątyni czerpią dumę z tego, że ich proroczość pozostają na wieczność prorocze. Ta potężna, choć trudna do określenia rewolucja, którą nazywamy światem nowoczesnym, zaczęła się z grubszą w chwilę, w której ludzie zażądali przełożenia Biblii na język angielski. Zakończyła się w momencie, kiedy nikt już nie ośmiela się domagać tłumaczenia angielskich poe- tów na język angielski. Zakończyła się wraz z powstaniem nowej rasy pedantów, którzy są szczęśliwi mogąc czytać poetę w oryginale i tylko mrużąc powokacyjnie, czytając,

na dowód, że ten oryginał jest tak bardzo oryginalny.

Jest paradoksem kliki, że składa się ona z tych, którzy coś rozumieją, ale nie chcą być rozumiani; w istocie zaś nie pragną być zrozumiani. Taka grupa z natury swojej musi być mała a jej założeniem jest pomniejszenie zasięgu kultury. Składa się z tych, którym się udało zbliżyć do pewnej unikalnej czy też perwersyjnej zdolności odgadnięcia, że człowiek myśli coś, czego sam nie potrafi jeszcze wypowiedzieć; tak jak detektyw może być słusznie dumny, uzyskawszy jakiegoś ważnego zeznanie od wariata, który jest głuchym niemową. Nie przydadzie to jednak poecie siły wyrazu ani odbiorcom zdolność rozumienia.

Idealna sytuacja powstaje wówczas, gdy poeta wyraża swoje treści językiem coraz bardziej zbliżonym do języka ludzi, ludzie zaś coraz więcej radości i korzyści czerpią z utworów poetów. To jest właśnie owa edukacja prawdziwie popularna; gdybyśmy opowalili ten tylko jej rodzaj, nie potrzebowałibyśmy żadnego innego. Jedną częścią biorących udział w sporze będzie nastawała na to, by publiczność starała się sama lepiej rozumieć

poetę; i tak być powinno. Drugi natomiast obóz odpowie, że to poeta winien starać się lepiej opracowywać swoje poematy; i ten też winien na to przystać. Rzecz jednak nie leży w drobnych retuszach ani w konwencjonalnych wygładzeniach. Idzie o to, żeby trzy czwarte wiersza nie pozostawało w poecie, gdy tylko ta reszta, głównie od końca, dobywa się na światło dzienne...

W dzisiejszych czasach nawet do brzy poeci nie piszą dobrych wierszy, ale raczej notatki (dopiski) do wierszy. Wydaje się im, że wystarczy zanotować, jak w jakimś chaotycznym dzienniku, że doznali uczucia dotkliwej czułości na widok starego kapelusza na opuszczonym wieszaku, lub że owładnęła nimi fala nieopisanego buntu na widok rozbitej wazy na podmiejskim śmietniku. Wtedy zjawia się zyczliwy krytyk, mówiąc (niewątpliwie zupełnie szczerze), że może sobie doskonale wyobrazić człowieka wzdrgającego się na widok wieszaka czy leżącego bzy do kubic na śmieci. Jest to jednakże tylko oznajmienie, że jeden człowiek może wejść w wyobraźnię drugiego (imagine the imagination). Nie sta-

nowi natomiast objaśnienia owej wyobraźni za pomocą obrazu. Daleki jestem od zaprzeczania (twierdzeniu), że wielki poeta może spowodować zwrot w stylisycie (przełom w stylu) i osiągnąć coś subtelnego opisując wieszak albo kubek na śmieci, jak Szekspir pisząc o szpilce do włosów albo o dziurach w korku. Gdy się jednak te fragmenty podda analizie, okaże się, że nigdzie wielki poeta nie starał się bardziej o doskonałość stylu, niż właśnie w opisie tych nędznych przedmiotów.

Nie wystarczyło mu samo przywołanie tych marnych rekwizytów i potem komunikat, że napełniły go one uczuciami trudnymi do opisanania. Zawsze jak najpoważniej zabierał się do opisywania rzeczy nie do opisanania. I w tym tkwi całe sedno literatury, ale to jest grządką diabelnie trudną do okopywania za pomocą graczy...

Przełożył:  
KRZYSZTOF DROZDOWSKI

\* Putney — dzielnica Londynu, w okresie międzywojennym zamieszkiwana przez artystów.



# IDZIE KU DOBREMU...

**WŁÓDZKIEJ KULTURZE COS SIĘ DZIAĆ ZACZYNA.** Dotyczy to szczególnie dziedziny muzyki. Niedawno dowiedzieliśmy się, że wybierają się do Łodzi Kazimierz Dejmek i Henryk Czyż. Pierwszy jako reżyser Teatru Wielkiego, drugi jako kierownik artystyczny Filharmonii. Dwa artyści, których lata działalności w Łodzi kojarzą się ze świetnym okresem kierowanych przez nich placówek. Więc optymiści mówią, że znów się coś będzie działo, pesymiści zaś, że w ten sposób wracamy do punktu wyjścia sprzed ponad dziesięć lat. Czy mają rację?

Przez te dziesięć lat naprawdę zniemiano się w naszej kulturze wiele, na kartach jej historii z pewnością można by zapisać ciekawe wydarzenia, cenne osiągnięcia, nie mówiąc nawet o tak ewidentnych jak np. powstanie i pięcioletnia działalność Teatru Wielkiego. Nasza ambicja każe nam jednak żałować, że za mało było tych wydarzeń wybitnych, na skalę krajową, a może i dalej niż krajową. Wydaje mi się jednak, że inna sprawa jest bardziej niepokojąca. To mianowicie, że zbyt mało uwagi, zbyt mało wysiłku poświęcono w tych latach wychowaniu publiczności, wychowaniu odbiorców dzieł kultury profesjonalnej — słuchaczy sal koncertowych, bywalców teatru muzycznego. Czyja to wina? Organizatorów życia muzycznego? Kierowników placówek zawodowych czy amatorów? Pierwsi zapewne odpowiedzą, że to wina prasy, bo za mało popularyzuje, drudzy nie odpowiedzą w ogóle, zajęci prowadzeniem zespołów estradowych, których celem jest chałtura, a nie wychowywanie słuchaczy muzyki poważnej.

Byłam niedawno na koncercie filharmonicznym, poświęconym współczesnej muzyce gruzińskiej. Wystąpiła w nim jako solistka światowej sławy skrzypkaczka Marina Jaszwilli. Koncert prowadził znakomity dyrygent gruziński prawie już w Łodzi zamieszany, Dżansug Kachidze. Na sali znaleźli się czterej kompozytorzy których utwory wykonywano: Gija Kanczeli, Bidzina Kwiernadze, Aleksiej Maczawariani i Sulchan Nasidze. Jaszwilli grała wspaniale, orkiestra pod batutą Kachidze była doskonała, publiczność miała okazję zapoznać się z twórczością najwybitniejszych współczesnych kompozytorów gruzińskich. Nazwisko Mariny Jaszwilli powinno być magnesem, nazwisko Dżansuga Kachidze tak samo, bowiem wszystko co on realizuje nosi znak najwyższej jakości muzycznej. Notabene, ten wielce utalentowany muzyk jest również pełnym inicjatywy organizatorem, z jego inspiracji powstaje w Łodzi polska wersja opery Z. Pałaszwiliego „Legenda Gruzińska”, jego inicjatywą był też ten koncert.

I co? I sala Filharmonii, podczas piątkowego koncertu, zenująco przeświecała pustymi miejscami. Zabrakło nawet młodzieży szkół muzycznych, której obowiązkiem powinno być uczęszczanie na koncerty filharmoniczne. Jak słyszę, słuchacze Wyższej Szkoły Muzycznej mają w piątki zajęcia do godziny dziewiątej wieczorem. To fakt, jeśli prawdziwy, jest bardzo smutny. Wykrusza się kadra starych melomanów, stałych bywalców sal koncertowych, nie mają oni następców. Nie mają następców nawet w młodzieży szkół muzycznych, tej która kiedyś sama zasiadła na estradach koncertowych. I jeśli tak dalej pójdzie — znów grać będzie przy pustawych salach.

Tymczasem widownia Teatru Wielkiego jest pełna. Weszła na scenę druga obsada „Henryka VI na łowach”. Drugie przedstawienie premierowe dzieła od pierwszego spory odcinek czasu, w związku z czym udzieliłam sobie pozwolenia na napisanie tylko o tych, którzy w drugiej premierze podobali mi się najbardziej. Więc przede wszystkim. Andrzej Saciuk, który na skutek choroby wystąpić mógł dopiero teraz. Jego Kokł panował nad sceną i widownią, był pierwszą osobą przedstawienia. Andrzej Saciuk śpiewał jeszcze piękniej niż zwykle, równie świetny w szybkim recytatywie jak i lirycznej kołysance. Grał doskonale, z umiarem, bez przerysowań, z bezzłównie wyważoną dozą humoru i dystansu. To był Kokł mistrzowski. Po paru niemych rolach w Teatrze Wielkim, Stanisław Helmsberger zaśpiewał wreszcie. Jako Ryśzard przypadł mi do gustu znacznie bardziej niż Zbigniew Jankowski. Stworzył postać prawdziwszą, żywą,

wokalnie zabłysnął bogatą skalą głosu, nośnym brzmieniem i ciepłą, liryczną barwą. Bardzo podobał mi się również Roman Werliński jako Lurwell. Stworzył on postać charakterystyczną, wyraziście zarysowaną, był doskonale wokalnie, zaprezentował też świetną dykcję. Wejście tych trzech wykonawców na scenę zapowiadało doskonałe przedstawienie. W dalszej obsadzie przyszło trochę rozczarowań, niewielkich jednak z jednym wyjątkiem. Wydaje mi się, że obsadzenie Eweliny Kwaśniewskiej w roli Betsy wyrzuciło dużą krzywdę tej śpiewaczce.

A publiczność? Jako się rzekło, przybywa tłumnie i dalej zapewne ścigać ją będą uroki tego przedstawienia. Ale rzecz interesująca. Jest to chyba publiczność nowa, bardziej teatralna niż operowa — jeśli tak można

powiedzieć. Publiczność, która oklaskuje raczej sytuację niż muzykę, słabo rozróżnia lepsze od gorszych wykonań wokalnych. Nie mówię tego, by obrazić publiczność. To dobrze, że do Teatru Wielkiego przychodzi nowi widzowie. Wielu z nich przyzwyczaiło się i będzie przychodzić częściej. Nie zamierzam bawić się w procektwa co da Teatrowi Wielkiemu współpraca z Kazimierzem Dejmkiem. Obiecujemy sobie wiele, bo wszędzie gdzie się Dejmek pojawia, powstaje sztuka przez wielkie S. Ale z pewnością jego działalność przyczyni się do teatru nową publiczność. I to teatr zobowiązuje. Bo wychowanie muzyczne, jak każde wychowanie, opierać trzeba na najlepszych wzorach, prezentując zawsze dobre wykonania.

**WŁÓDZKIM ŻYCIU MUZYCZNYM IDZIE KU DOBREMU.** Dobrze — to cały kompleks zagadnień, cały zespół warunków, które się na to określenie składają. Nie podobała im dwie czy trzy indywidualności, choćby najwybitniejszej, w pojedynkę. Muszą im pomagać, muszą z nimi współdziałać wszyscy, którzy mają w swych rekach sprawy życia kulturalnego miasta.

## spektakle tygodnia

(za okres od 28.I.72 do 5.III.72)

	liczba spektakli	liczba widzów	proc.
<b>WIELKI</b>			
„Aida”	2	2520	100
„Henryk VI na łowach”	1	1260	100
„Dziwczyną z zachodu”	1	800	100
„Madame Butterfly”	1	1260	100
<b>NOWY</b>			
„Zołnierz i bohater”	5	3500	100
„Opowieści Lasku Wiedeńskiego”	2	1400	100
„Prometeusz”	1	460	70
„Idiota”	1	560	80
<b>NOVA Sala</b>			
„Ofiary obowiązku”	2	280	70
„Kocł”	2	400	100
„Rodeo”	1	200	100
<b>POWSZECHNY</b>			
„Królewskie polowanie na słońce”	2	668	50
„Ojciec królowej”	2	1336	100
„Perla”	4	2672	100
<b>JARACZA</b>			
„Dwudziesta noc”	2	1102	100
„Wilki”	3	1156	75
„Płacówka”	1	551	100
„Wszystko w ogrodzie”	2	771	75
<b>7.15</b>			
„Trędowata”	4	1684	100
„Leźtern”	2	823	93
<b>OPERETKA</b>			
„Kaper królewski”	6	5400	81
<b>FILHARMONIA</b>			
koncerty symfoniczne	2	950	75

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



**F**RANCESCO ROSI dał się poznać naszej publiczności jako twórcę znakomych dramatów politycznych i społecznych, spośród których „Salvatore Giuliano” i „Rece nad miastem”, to filmy, które doczekały się najwyższych nagród na festiwalach filmowych. Zostając wieny swym paszjom, w 1970 roku zrealizował Rosi w oparciu o powieść Emilio Lussu film „LUDZIE PRZECIWKO SOBIE”. Warto tu wspomnieć, że Lussu, będący dziś senatorem parlamentu włoskiego, w powieści swej zawarł wspomnienia z I wojny światowej, gdy jako porucznik oddziałów ochotniczych brał udział w bitwie o ważny punkt strategiczny — Monte Fiorę. Ten epizod z czasów wojny jest także tematem filmu. Jego filmowa wersja wywołała we Włoszech ogromną falę protestów, płynących z prawicowych ugrupowań, a także organizacji kombatanckich. Oskarżano Rosiego o szarganie świętości narodowych i „dumnej przeszłości ojców”, o fałsz historyczny, składano interpelacje w parlamencie. Szeroka publiczność nie była jednak wobec Rosiego tak surowa, intencje twórcy czytano nie tylko jako próbę rozliczenia przeszłości historycznej; ciekawym aktualnym tematem wojny pozostaje czynnikami określającym życie współczesnych społeczeństw.

Film Rosiego jest jednym z najbardziej brutalnych obra-

zów wojny, jakie kiedykolwiek w historii kina zrealizowano. Dla Wiochow jest na pewno filmem burzącym narodowe mity o wojnie walczącej i o patriotyzmie nie zwycięskiej, wpisany w konkretnie historyczne zdarzenia. Dla wszystkich innych pozostaje głosem protestu przeciw wojnie w ogóle. Pacyfistyczny charakter filmu pogłębia jest jednak wnikliwa analiza stosunków między ludźmi na wojnie i stosunku ludzi do wojny. Oficerowie i żołnierze, arystokraci i chłopcy, spotykają się w okopach, walczą i umierają często razem, żołnierze wykonują rozkazy przełożonych, lecz ich uczestnictwa w wojnie jest działaniem wbrew przekonaniom, nie jest więc udziałem faktycznym, zdaje się mówić film Rosiego. To zdanie głosu ludu, udziału jego świadomości w działaniach wojennych, poszerza znacznie sens filmu, nie tylko z pacyfistyczną postawą twórcy mamy tu do czynienia.

Pieknielna siła argumentacji filmu „Ludzie przeciwko sobie” tkwi niewątpliwie w wyborze formy jej przekazu. Rosi stworzył przejmującą kronikę wojny, zbiorę faktów ukazując z surowością i lakonicznością. Straszliwy realizm obrazów przeplata elementami groteski, zwłaszcza tam, gdzie ukazuje poczynania szaleńców dowódców. Wszystko służy w tym filmie odwołaniu do absurdu wojny, określeniu wy-

miarów tragizmu bezsensownego umierania. Scena, w której austriacki żołnierz, wzywając swych włoskich kolegów — przeciwników do przzerwania szturm na nie do zdobycia bastionu, należy do scen nie tylko najbardziej wstrząsających, ale i symbolicznych.

\* \* \*

Przed paru tygodniami premiera „Zerwania”, obecnie nowego filmu Claude Chabrola „RZEZNIK”, a więc dla tych, którzy lubią francuskie kino, dobra okazja do przypatrzenia się najnowszym propozycjom jednego z wiodących twórców tej kinematografii. Mistrz pastiszu, którego „Zerwanie” jest znakomitym przykładem, tym razem przemawia tonem bardziej osobistym, „Rzeźnik” to bardzo dziwny film, niby nieważny, blabla wiasciwie, jeśli potraktować go jako sensacyjną II tylko opowieść, a jednak gdzieś w drugim łańcuchu łańcucha zadumę nad ludzką kondycją. Chciałoby się prawie rzec, że mamy do czynienia z utworem doskonałym, jeśli brać pod uwagę sposób filmowego opowiadania. Nie chodzi tu tylko o perfekcję intrygi, o bliski Hitchcockowi sposób budowania i dozowania napięcia, a znakomicie prowadzony dialog i grę aktorów (w epizodach — niezawodowych) Zachwyca w „Rzeźniku” filmowy opis poszczególnych sytuacji samej akcji, ale głównie to, co

nazwać by można „martwymi momentami”, tych pozornych pustych miejsc, w których znaczy obraz, w których nie się nie dzieje, a wszystko służy budowaniu klimatu opowieści. A jest on niezwykły również dla samego, tak zawsze ironicznego Chabrola. Klimat ten decyduje o tym, iż „Rzeźnik” przestaje być opowieścią tylko sensacyjną, czy nawet filmem grozy, a staje się poszukiwaniem psychologicznym i obyczajowym uwarunkowań, ba, nawet, z czym może trochę już gorzej, uwarunkowań politycznych.

Chabrolowi nie chodzi wyłącznie o jednostkowy przypadek, w tym wypadku historii zbrodniarza, podejmuje wielki temat inspirujący sztukę od wieków, a dotyczący owej cienkiej granicy dobra i zła, uczciwości i zbrodniczości ludzkiej natury, momentu, w którym rodzi się zbrodnia. Dobry i sympatyczny człowiek, z którego wojna zrobiła potwora, dobra i piękna dziewczyna rozczarowana i samotna z wyboru, świat francuskiej prowincji, ludzie do brzy i spokojni, wśród nich zbrodnia, ich reakcje i znowu spokój wyrozumiałości. Piękno i brzydota, dobro i zło, zgoda na życie i beznamiętny jego smutek. Bardzo piękny ten film Claude Chabrola, choć dla niektórych może pozostać tylko pełną grozy opowieścią o wielkim rzeźniku i nauczyciele.

EWA NURCZYŃSKA



## UCZUCIE BEZINTERESOWNE

Po dłuższej przerwie — takie przerwy chronią przed tak częstym u innych wziętych autorów „wymyśleniem się” — ujawnił się na antenie Jeremi Przybora, niedościgniony mistrz nonsensownego humoru. Tym razem przemówił do węższej widowni oglądającej program II („Słone uczucie doktora Wyprostka”; scenariusz i reżyseria — Jeremi Przybora; reżyseria TV — Barbara Borys-Damiecka; scenografia — Alicja Wirth; Telewizja Warszawa — 4. III. 72).

Polacy dzielą się na gorących zwolenników programów i typu humoru Jeremiego Przybora i na nie mniej gorących adwersarzy. Tertium — jak mawiali starożytni — non datur. Wobec Przybory nie można pozostać chłodnym i obojętnym. T-O opowiadał się zawsze po stronie entuzjastów i nie zmieniał zdania.

Programy swe oplera Przybora z reguły o absurdalny pomysł, ale za to znakomity. Zanurzając się w fale absurdu zachowuje swolista logikę, która sprawia, iż absurd staje się chwilami dziwnie bliski realnego życia i obnaża z całą bezwzględnością ludzkie przywary i mankamenty społecznego współzycia.

Tak jest i z doktorem Wyprostkiem. Z woli autora zapala on bez żadnego racjonalnego powodu nienawiścią do Miłstrza, ulubieńca publiczności, przedmiotu westchnień wszystkich kobiet i laureata nagrody za całokształt. Nie! To nie zarządźcie legia u podstaw tego męczącego dla obu panów uczucia. Jak stwierdził psychoanalityk, chodziło tu o rzadki przypadek nienawiści absolutnie bezinteresownej, w klinicznie czystej formie.

Taki jest punkt wyjścia ostatniego programu Jeremiego Przybory. Absurdalność pomysłu pełna. Podobnie jego realizacja. Doktor Wyprostek, niesiony falą bezinteresownego uczucia, przeciąga szmerek-pulsapkę na klatce schodowej u Miłstrza, pisze nań donosy do ministra, uwodzi panią Furczyjaczynowicz, którą według nieaktualnych już danych uważał za sympatię Miłstrza, wreszcie na łożu śmierci ma tylko jedno ostatnie życzenie: nogą obleczoną w but narciarski kopnąć Miłstrza za dupę.

Spełniwszy to ostatecznie swoje pragnienie, doktor Wyprostek umiera, jak w melodramacie. Stał się ofiarą swego bezinteresownego uczucia. Miłstrz wyzywa się pozornie jedynego swojego wroga i roni szesza łez nad jego grobem. Ale jest to tylko, powtarzam, gra pozorów. Oto już nowi wrogowie, przyjaciele zmarłego nieutuleni w żalu, czekają na Miłstrza za bramą cmentarną, by go kopnąć w...

Z pewnym zażenowaniem streszczam widowsko Przybory, gdyż beznadziejny jest wysiłek relacjonowania w tonacji serio czegoś, co się takimi traktowaniem nigdy nie podaje. U Przybory wszystko jest żartem, wszystko skapanie humorem. Wytworzył się nawet typ aktorstwa specyficznego dla tekstów tego autora. Niekoronowanym królem wśród aktorów obsadzanych przez Przybora jest Wiesław Michnikowski, który w atmosferze tych programów czuje się jak ryba w wodzie.

Jeżeli więc streściłem ostatni program Przybory, to uczyniłem to po to, by wykazać, jak absurd jest tu bliski realnemu życiu. Czy w naszym współzyciu z ludźmi nie zdarzają się na każdym kroku przykłady małej złośliwości i przejawy niechęci, które pehają ludzi do czynienia sobie najróżnorodniejszych świństw i zatrąwania sobie w najbardziej wyrafinowany sposób życia? Powiecie, że w życiu istnieją zawsze jakieś przyczyny rodzące niechęć czy nienawiść? Owszem. Ale jakież to przyczyny! Pozał się Bożel Referent Kowalski krzywo spojrzeć na zastępcę kierownika Kozłowskiego. Ktoś stoł komuś na drodze do kariery, ubiegając się o awans na to samo stanowisko. I tak dalej, i tak dalej.

Świństwa, jakie sobie nawzajem robimy stają się nie-współmierne do praprzyczynny sporu. Bezinteresowne uczucie doktora Wyprostka okazuje się wcale nie tak absurdalnym, jak by się na pozór wydawało.

Przepadam za pełnym inwencją i mądrym humorem Przybory. Szkoda tylko, że ostatni program jego cierpiał na całkowity brak udziału muzyki! Szkoda, że tandem Przybora — Wasowskiej należy już do przeszłości!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## TRZY RZEZBIARKI

Marcowy numer radzieckiego miesięcznika-magazynu „Sputnik” przynosi m. in. przedruk z „Ogonioka” artykułu napisanego przez nestora radzieckich rzeźbiarzy Siergieja Konienkowa. 97-letni Konienkow zmarł w październiku ubiegłego roku i zamieszczony w tygodniku „Ogoniok” artykuł był jedną z jego ostatnich wypowiedzi prasowych. Konienkow pisał w nim o trzech niezwykłych już wybitnych rosyjskich, radzieckich rzeźbiarkach, którymi były: Anna Gółubkina (1864-1927), Wiera Muchina (1889-1933) i Sarra Lieblediewa (1892-1967).

W końcu zeszłego roku w Moskwie, w wystawowych salach Akademii Sztuk Pięknych, zostały eksponowane prace tych trzech talentowanych rzeźbiarek. Poprzednio wystawy ich rzeźb były pokazane w Muzeum Rodina w Paryżu. Wystawa miała tytuł „Trzy radzieckie rzeźbiarki” i nie było to przypadkiem, że ekspozycja odbywała się w Domu Muzeum Rodina, bowiem wszystkie trzy artystki pozostawały więcej lub mniej pod wpływami geniuszu Rodina. Anna Gółubkina

w swoim czasie pracowała pod jego bezpośrednim kierunkiem. Dwie jej rzeźbiarskie prace pokazane były na Jesiennym Salonie w roku 1898. Wiera Muchina, na była zaś uczennicą Boudelle'a, który sam z kolei był uczniem Rodina. Sarra Lieblediewa stawiała swe pierwsze kroki artystyczne pod kierunkiem jednego z rzeźbiarzy, który również pozostawał pod silnymi wpływami rosyjskiej twórczości.

Konienkow w swym artykule poświęcił wiele ciepłych słów zwłaszcza Annie Gółubkinie, z którą poznał się bliżej w moskiewskiej uczelni malarstwa, rzeźby i architektury w roku 1892, gdzie rzeźbiarka pracowała pod kierunkiem profesora Siergieja Iwanowa. W roku 1905 Anna Gółubkina zaczęła się jako piórnika na rewolucjonistka, a ówczesny Moskiewski Komitet Partii Bolszewików zamówił u niej wykonanie w brązie popiersia Marksa. Gółubkina wykonała zamówienie i był to pierwszy wizerunek-rzeźba postaci Marksa w Rosji, dzieło o wybitnych walorach artystycznych.

Wiera Muchina wykonała m. in. słynną rzeźbę w roku 1923 zatytułowaną

„Plomień rewolucji”. Dzieło to niezwykle sugestywne, pełne siły i ekspresji przyniosło autorce wiele uznania i rozgłosu. Do jej wybitnych osiągnięć artystycznych należą także m. in. rzeźba „Zboże”, dzieło symboliczne, przedstawiające dwie nagie dziewczyny trzymające na swych barkach snop zboża i „Robotnik” i „Kolchoznica”, rzeźba o niezwykłej ekspresji wienająca pawilon radziecki na Międzynarodowej Wystawie w 1937 roku w Paryżu, potem wystawiana w Ameryce, gdzie wywołała duże zainteresowanie. Sarra Lieblediewa znana jest głównie jako rzeźbiarka portrecistka. Wiele pracy włożyła w sportretowanie Dzierżyńskiego. Używała od niego pozwolenie przybywania w jego gabinecie i przeprowadzania studiów jego postaci, podczas normalnych zajęć. Do wybitniejszych dzieł Lieblediewej należą m. in. portret słynnego lotnika Waleriego Czkałowa, znannej aktorki Kipier-Czechowej i poetki Aleksandra Twardowskiego. Jako poważne osiągnięcia artystyczne traktowana jest też jej rzeźba odłana w brązie, zatytułowana „Dziewczynka z motylem”.

## INEDIT Z SZESNASTEGO WIEKU

„Samedi Littéraire” do datki literackiej dziennika „Journal de Genève” traktuje jako edytorską sensację mający się ukazać w druku zbiór dotąd niepublikowanych, a pochodzących z wieku XVI uciecznych opowiadań Filipa de Vigneulles.

Kim był ów Philippe de Vigneulles (1471-1528)? Z zawodu był kupcem blawatnym w Metz, z amatorskiego kronikarzem. To też historykom znany jest jako autor „Dziennika” i „Kroniki Metz, Lotaryngii i Francji”. Ale dotąd nie wiadomo, że ów samouk, który najprawdopodobniej nie znał żadnego innego języka prócz rodzimej francuszczyzny,

napisał sto zabawnych opowiadań pt. „Cent nouvelles nouvelles”, które do dziś pozostawały jedynie w manuskrypcie. Pisał je w okresie długiej rekonwalescencji po ciężkiej chorobie. Tak więc najprawdopodobniej gdy się nudził spisywał opowieści, jakie krążyły w gromadzie biśiadników, wesołej kompanii. Owe opowieści przypominają te jakie słynny Boccaccio w czternastym wieku napisał pod tytułem „Dekameron” lub „Facecje” Poggio-Braconolingo, starszego ponad pół wieku od Boccaccia.

Manuskrypt Filipa de Vigneulles pozostawał przez długie lata w posiadaniu profesora Charlesa H. Livingstona, który przygotował kompletne wydanie stu opowiadań kupca blawatnego z Metz. Tom ma się ukazać w objętości ponad 400 stron wielkiego formatu. Profesor zaopatrzył go w obszerną przedmowę zawierającą m. in. biografię Filipa de Vigneulles. Książka zawierać będzie też liczne komentarze i przypisy, a ilustrowana będzie reprodukcjami oryginalnych rysunków autora opowiadań i fotografiami jego rękopisu.

Nie ma potrzeby zbytnio się rozwodzić nad tym jakie ważne znaczenie wydawnictwo to ma dla historyków, historyków literatury i językoznawców. „Journal de Genève” chce zapoznać swych czytelników z atmosferą tych opowiadań i humorem Filipa de Vigneulles przytacza obszernie streszczenie i oryginalne fragmenty sześćdziesiątego szóstego opowiadania. Jego bohaterką jest piękna młoda wieśniaczka z miejscowości Joley nad Mozela w pobliżu Metz.

## ARGENTYŃSKA PIANISTKA

Po raz pierwszy w Paryżu wystąpiła ze swymi koncertami piękna Sylvia Kersenbaum. Jest ona córką Austriaka i Włoszki, urodzona w Buenos Aires jest obywatelką argentyńską. Ma 26 lat i znana jest jako pianistka w Ameryce Łacińskiej, gdzie nagrała już kilka płyt. Mając lat 14 odbyła swój pierwszy publiczny koncert. Talent jej ukształto-



Sylvia Kersenbaum

wał się pod kierunkiem sławnego muzyka profesora Scaramuzza, zmarłego w roku 1968. Dzięki pomocy stypendialnej przebywała we



AZNAVOUR LEKARZEM

W roli lekarza wystąpił w filmie „Intruzi” francuski piosenkarz Charles Aznavour. On też będzie autorem dialogów w tym filmie. Jego młodzieńcza partnerka będzie córeczka Katia licząca trzy lata.

## LUDMILLA TCHERINA „DAMA KAMELIOWA”

Ludmilla Tchérina, znana francuska tancerka baletowa, która ponadto jako hobby uprawia rzeźbiar-

stwo, wystąpi w filmie dla francuskiej TV w roli Marguerite Gautier. Jak wiadomo jest to bohaterka słynnej powieści Aleksandra Dumasa syna pt. „Dama Kameliowa”.

## LENINGRADZKI „DIXIELAND”

Co to jest dixieland? To kolektywna improwizacja, prosta akompaniamenty, nieustanny, mocno akcentowany rytm — jazzowy styl, który pojawił się w Nowym Orleanie na początku XX wieku.

Co to jest leningradzki „Dixieland”? To grupa siedmiu leningradzkich muzyków jazzowych. Zespół

istnieje od 1958 roku i cieszy się ogromnym powodzeniem. W swym repertuarze grupa ma nie tylko „klasyczne” marsze, bluesy, ale również improwizacje na motywach rosyjskich pieśni i tańców. Grają wesoło, żwawo, z werwą. Jeden z ostatnich numerów dziękowego miesięcznika radzieckiego „Krugozor” przynosi w części dziękowej m. in. nagrania leningradzkiego „Dixielandu”.

# Bez strachu

CI, KTÓRYCH NIE MA...

Kiedy pracowałem jeszcze jako urzędnik, kierownik wiele razy nakazywał mi i przypominał, bym miał na sercu zorganizowanie spraw kultury dla prostych ludzi. Kiedy pisywałem powieści, wydawcy pragnęli, by były to powieści dla prostych ludzi. Kiedy produkowałem wiersze, redaktorzy wołali o wiersze dla prostych ludzi. Proszono mnie, nakazywano mi, molestowano mnie, bym mówił, czytałem, deklamował, gestykulował dla prostych ludzi. Z powodu tych rozkazów, wskazań, życzeń, żyłem przez wiele lat w permanentnym lęku, podejrzewałem sam siebie o zasadniczą ułomność, o ślepotę poznawczą. Tytuł mądrych ludzi mówi mi ustawicznie o prostych ludziach, każą mi dla nich działać, pracować, sposobie się do pewnych szczególnych, dla tych ludzi sposobnych akcji, a ja tymczasem o tych prostych ludzi nigdy i nigdzie nie widywałem. Zaczęłem pracę w dwunastym roku życia jako goniec, w cudzym sklepie myłem podłogę i paliłem w piecu. Wszyscy: i właściciele sklepu i ekspedientki i ci, którzy kupowali w tym sklepie, były to natury bujne, złożone, pełne osobliwych kompleksów, powikłań intelektualnych i uczuciowych. Potem pracowałem w fabryce walizek — majster był człowiekiem o fantazji i porywach Sindbada Żeglarsza, praktykant — był wouterlańskim sztyrdercem. Moją ciotką miała charakter i pomysły Katarzyny Medycejskiej, stryjek przewyższał Józefa Balsamo. Nauczycielka w szkole podstawowej, której kataklizm dziełowej nie pozwoliła mi ukonczyć, miała duszę trucielki Lukasty. Po fabryce walizek — fabryka zabawek. Malarz — projektant był to Michał Anioł, który nigdy nie odnalazł swoich Medyceuszów. W obozie koncentracyjnym kapo kamieniołomów zawierał materiał psychiczny, z którego w pomysłach warunkach mógł się wykształcić Cesarz Borgia i Janosik. Po wojnie jeździłem i szukałem prostych ludzi w najbliższych i najdalszych wioskach. W czasie dyskusji znowu wouterlańskie sztyrderskie wiejskich wesołków, Diogenesowe sentencje flegmatycznych wieśniaków. Wracałem do biura, gdzie mówiono mi: „Dobrze robicie, ale za mało myślicie o prostych ludziach i to nas w waszej robocie martwi”. Czyżbym był szalony, ślepy, pozbawiony powonienia? Brałem tego i owego z kolegów na stronę, prosiłem o portret psychiczny i fizyczny prostego człowieka. Kreślił mi wizerunki osób niezmiernie skomplikowanych... Odpowiedź na ten dręczący mnie przez lata problem znalazłem w literaturze. „Prosty człowiek” to nie był realny, to hipostaza, to wizja, zasugerowana nam przez poetów, którzy bronili „prostych ludzi”. (Czy przed „ludźmi skomplikowanymi”? Tak wielka była potęga wizji poetyckiej, powstałej przed półwiekiem, że dawno już zmarli prawdziwi ludzie tamtej epoki, a mit o „prostym człowieku” ciągle się zamęt w ludzkich umysłach.

BERNARD SZTAJNERT



Wiera Muchina — „Zboże”.



SIÓDMA ZASŁONA LITERATURY

TAJNIKI PISARSTWA — ŚWIAT AUTORÓW I ŚWIAT KSIĄŻEK — PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI — KTO NIE CZYTA? — KRYTYK OGARNIĘTY NIEMOCĄ — ŚWIATŁY CZYTELNIK — KSIĄŻKI WYKLADNE — ALCHEMIA SŁOWA.

Niedawno Andrzej Hampel zaszygnalizował w „Dzienniku Łódzkim” ciekawy problem w felietonie „Złapano za guzik”. Chodziło o relacje pisarza — twórczość; jak się ma twórczość do osobowości i prywatnego wnętrza pisarza, w jakim stopniu charakter twórczości pokazuje, ujawnia osobowość pisarza — człowieka...

Są to, oczywiście, problemy, których nie można wyjaśnić w jednym felietonie, są to bowiem sprawy mocno skomplikowane, jak zresztą wszystkie tajniki działań twórczych. Wydaje mi się zresztą, że o tych sprawach warto mówić i pisać — przybliżają one w jakiś sposób pisarza i jego dzie-

ło szerokim kręgom czytelnictwem. Wśród czytelników obserwuje się także potrzebę tego rodzaju zbliżenia, świadczą o tym pytania wciąż stawiane w czasie spotkań autorskich. Bo w końcu wszyscy bardziej lub mniej świadomie zdają sobie sprawę z faktu, że świat autorów nie pokrywa się ze światem książek. Z bibliotecznego katalogu nie poznamy umysłowości właściciela, choć istnieje bałamutne powiedzenie „pokaz mi, czy czytasz, a powiem ci, kim jesteś”. Podobnie książka rzadko bywa kluczem do umysłowości i wrażliwości jej autora.

Jak to więc jest z owym specyficznym rodzajem pracy zwanym twór-

czością pisarską? Ile jest w tym wiedzy, pracy, lektury, doświadczenia, a ile tzw. „iskry Bożej”, czyli po prostu odpowiednich dyspozycji psychicznych i umysłowych?

Podobnie jak felietonista „Dziennika Łódzkiego” i ja nie potrafimy wyczerpać tematu i odpowiedzieć na wszystkie pytania, zwłaszcza, że na niektóre pytania po prostu odpowiedź generalna jest niemożliwa.

Czy pisarzowi pomagają lektury? Oto przykład pytania, na które odpowiedź znaleźć trudno. Rainer Maria Rilke twierdził, że czyta bardzo mało, William Faulkner twierdził, że nie czyta w ogóle. Podobno Marcel Proust także czytał niewiele. Mówiąc najogólniej, pisarz w miarę, jak nabiera zaufania do swoich prawideł wewnętrznych, czyta mało, z obojętnością odwraca się od tego, o czym głośno w świecie.

Ale to przecież też nie reguła. Pisałem kiedyś w tym miejscu, jak wiele czytał Zeromski, jaka mnogość notatek poprzedzała każdą prawie jego książkę. Do „Wiatru od morza” na przykład zgromadził wyciągi z lektur, zawarte w kilkunastu brulionach. Z drugiej więc strony panuje pogląd: „Je-

śliby pisarz nigdy nie czytał — nie pisałby!” I bądź tu mądry! Jakże więc odpowiedzieć na pytanie o relacje między lekturą a twórczością?

Owa niemożność dawania odpowiedzi zdecydowanych i ostatecznych towarzyszy nam zresztą będzie zawsze, gdy wędrujemy na teren rozważań o literaturze i jej twórcach. Choćby sprawa — literatura i krytyka literacka. Nie tylko różni autorzy, ale także nieraz jeden i ten sam pisarz mówił o tym w sposób diametralnie różny. Choćby francuski pisarz Saincte-Beuve twierdził, że krytyka uczy jedynie czytać książki, a jednocześnie stwierdzał, że krytyka jest ciągłą inwencją, ciągłym tworzeniem nowych wartości — a więc literaturą.

O krytykach mówi się nieraz złośliwie, że wiedzą, jak, lecz sami nie potrafią. Ale, jeśli to nawet prawda, taki opanowany niemocą twórca krytyk ogarnia bardziej całość literackich problemów artystycznych, niż pisarz zamroczony jedną, jedyną, bo własną wizją świata. Wieg w końcu zarzuć o twórczej niemocy krytyków też nie przemawia przeciwko nim, bo

właśnie świadomość owej niemocy może być źródłem autentycznych inwencji literackich. Nie zrealizowanych przez krytyka, ale oddanych do dyspozycji twórców.

Coraz więcej mamy czytelników światłych i wnikliwych. Coraz bardziej interesuje ludzi osobowość i akt twórcy pisarza. Najczęściej jednak są to sprawy bardzo indywidualne i bardzo różnorodne — jedynie w ogólnych zarysach można stworzyć jakąś całościową wykładnię tych spraw. Taką wykładnię w polskiej literaturze stworzono już przed wielu laty — jest to „Alchemia słowa” Jana Parandowskiego. W literaturze francuskiej taką książką jest zapewne „Siódma zasłona literatury” Henry Barsa. Zresztą każda literatura ma taką książkę.

Świadczy to również o wciąż żywej aktualności i atrakcyjności problemów psychologii i mechaniki twórczości pisarskiej. To dobrze. Świadczy bowiem, że literatura towarzyszy czytelnikowi wnikliwy i ciekawy — pragnący odsunąć owe śledem zaston, kryjących źródło literatury.

JERZY WIDOK



# ALBUM PRZESTĘPCÓW

Pani Wagner weszła do salonu. Jej córka Mabel przeglądała ilustrowany tygodnik, a zięć Leon czytał gazetę.

— Zdecydowałam się jednak iść do Centrali policyjnej — rzekła pani Wagner.

— Mamo, ośmieszysz się tylko, zwracając głowę taką drobnostką — zdenerwowała się Mabel.

— Muszę odebrać swoją torebkę i zemsć się za okaleczenie mi twarzy. Widziałam go dobrze i rozpoznam natychmiast. W policji mają albumy przestępców.

— To jest tylko strata czasu, torebkę na pewno gdzieś porzucił. I co tam w niej było, 10 dolarów — wtrącił Leon.

★ ★ ★

W Centrali przyjął interesantkę porucznik Meadows.

— W jakiej sprawie zgłasza się pani do nas? — zapytał.

— Szłam wieczorem ulicą, z bramy wyskoczył jakiś mężczyzna i wyrwał mi torebkę. W czasie walki uderzył mnie w twarz i lekko zranił.

— Czy pani go dobrze widziała?

— O, tak, jestem pewna, że go rozpoznam.

— Proszę mi powiedzieć, czy pani mieszka sama?

— Nie, z córką i jej mężem. Jeszcze rok temu mieszkali w Kalifornii. Moja córka pracowała tam przez sześć lat w pewnej spółce filmowej. Wówczas właśnie poznała swego męża, Leona.

Porucznik coś zapisał w notesie.

— A teraz pójdziemy do naszego archiwum i pokażę pani albumy przestępców.

W ciągu dwóch godzin pani Wagner oglądała fotografie różnych typów. Byli to złodzieje torebek, handlarze narkotyków, fałszerze, osuści, maniacy seksualni.

Zmęczona się oglądaniem tyłu twarzy.

— Przykro mi — zwróciła się do porucznika, który ją uważnie obserwował — lecz nie znałam tego człowieka.

— Może to jest jakiś początkujący złodziej i dotychczas nie sfotografowany. Ale mam tu jeszcze jeden album, ostatni. Proszę go obejrzeć.

Zaczęła znów przewracać karty. Nagle zatrzymała się.

— Czy pani coś tam znalazła?

— zapytał porucznik.

Nie odpowiadając mu przyglądała się dwu fotografiom, jedna obok drugiej. Twarz młoda, śniada, nos ostry, czarne włosy. Profil cynika.

— Czy pani kogoś poznała? — zapytał Meadows.

Nie usłyszała pytania. Pod zdjęciem było objaśnienie: „Nazwisko: Will Drawes, alias Louis Jones. Urodzony: San Francisco, California, 1930. Poszukiwany za oszustwa, napady z bronią”.

— Pani Wagner!

Uniosła głowę przestraszona.

— Czy to mężczyzna, który porwał torebkę?

— O, nie. Mówiłam panu, że jest blondynem. Nie podobny do tego z albumu.

Przerzuciła szybko następne kartki i zamknęła album. — Widzę, że nie znajdę tego człowieka.

— Proszę się nie przejmować, zrobiła pani wiele. Dziękujemy za współpracę. Porozumiem się z paniami, jeżeli wypłynie coś nowego.

★ ★ ★

Następnego dnia mąż Mabel wyszedł rano z domu, gdyż miał spotkanie z agentem giełdowym. „W celu zawarcia korzystnej transakcji”.

Mabel usiadła przy stoliku i zajęła się manikurem.

Pani Wagner, blada po bezsennej nocy, usiadła obok córki.

— Mabel... myślałam dużo o Leonie. Powiedz mi, gdy go poznałaś w Kalifornii, czym on się tam zajmował?

— Mamo, mówiłam ci już o tym sto razy! Był agentem giełdowym i zarabiał bardzo dobrze. Tylko tutaj, w Nowym Jorku, wszystko układa się gorzej.

— Wiem o tym, ale wydaje

mi się, że trudno jest poznać dobrze ludzi, nawet tych, z którymi żyje się bardzo blisko.

— Słuchaj, mamo. Leon i ja jesteśmy małżeństwem od sześciu lat, wiem o nim wszystko...

Pani Wagner bała się wypowiedzieć głośno swoje podejrzenia, żeby nie wywołać sceny. Mabel była zawsze przewrażliwiona.

— Pragnę tylko waszego szczęścia, córeczko. Leon jest także dla mnie sympatyczny, ale wydaje mi się dziwne, dlaczego nie może przystosować się do tutejszego środowiska.

— Do czego zdążasz, mamo? Może chcesz, żebyśmy się stąd wyprowadzili?

Pani Wagner drgnęła. — Mój Boże, Mabel... Nie, na pewno, nie!

Obejła serdecznie córkę. — Kochanie, jesteś wszystkim dla mnie, moim życiem...

— Mamo, nie martw się o Leona. On jest bardzo zdolny, niedługo jego sprawy dobrze się ułożą. Gdy byliśmy w Kalifornii, zarabiał wiele pieniędzy... Bardzo wiele...

★ ★ ★

O 4 po południu pani Wagner podjęła pewną decyzję. Podniosła słuchawkę telefoniczną i nakreśliła numer Centrali. Usłyszała znajomy głos:

— Halo! Tu porucznik Meadows.

— Nazywam się Wagner, wczoraj oglądałam te fotografie u pana.

— Czy pani sobie coś jeszcze przypominała?

— Nie. Ale chciałabym z panem porozmawiać. Czy moglibyśmy gdzieś się spotkać?

— To jest dla mnie w tej chwili niemożliwe. Może by pani przyszła do biura?

— Moja sprawa nie dotyczy mężczyzny, który skradł torebkę. Chodzi o coś zupełnie innego.

— Przyślę w takim razie kogoś z moich ludzi do pani mieszkania.

— O, nie! To już wołę przyjąć do waszego biura.

— Jak pani sobie życzy. Będę tu do godziny 18.

— Więc przyjdę zaraz.

★ ★ ★

Porucznik Meadows przypomniał sobie bacznie pani Wagner.

— William Drawes? — zapytał po przywitaniu. — Czy o nim chce pani mówić?

— Oczywiście, zdaje się, że tak się nazywa.

— Zwróciłam na niego uwagę wczoraj, gdy pani przewracała kartki ostatniego albumu.

— Może to jest tylko zbieg okoliczności — zaczęła niepewnie pani Wagner — ale gdy zobaczyłam twarz tego mężczyzny...

— Zaczniemy od początku — przerwał jej porucznik. — Gdzie pani zobaczyła tę twarz po raz pierwszy?

— Moja córka pracowała w Kalifornii jako sekretarka producenta filmowego. W pierwszym roku pobytu w Kalifornii poznała owego mężczyznę, ale nie jestem pewna, czy to był na pewno ten William Drawes.

Przysłała mi kiedyś stamtąd fotografię. Była na niej razem z nim. Ładny chłopiec, lecz miał dziwny wyraz twarzy...

— I co się z nim stało?

— Nie wiem. Sądzę, że gdy córka poznała Leona, swego obecnego męża, zerwała z tym.

— Czy pani przypomina sobie jego nazwisko?

— Córka może je znać, ale nie chcę z nią o tym mówić. Po co ją straszyć? A poza tym jest to okres już w jej życiu na zawsze zamknięty.

— Ma pani rację. Wtem o nim, że po opuszczeniu Kalifornii wyjechał na wschód, ale nie wiadomo dokąd. Czy pani ma jeszcze tę starą fotografię?

— Tak, wzięłam ją z sobą.

Porucznik przyglądał się pośrodkowej kartce, przedstawiającej mężczyznę i kobietę w kostiumach kąpielowych.

— Pani córka jest piękną kobietą — zauważył.

— Dziękuję, poruczniku.

Pani Wagner obserwowała policjanta jak wyjął z szuflady biurka szkło powiększające i porównywał fotografię z portretem w albumie.

— Hm, jakies podobieństwo jest, ale trudno rozróżnić twarz na tak małej fotografii. Nie powinna się pani przejmować tą sprawą. Widziałem dziesiątki fotografii osób, które wydawały się bliźniakami, dopóki się ich osobiście nie skonfrontowało.

— A więc pan myśli, że...

— Myślę, że spotkaliśmy się ze zwykłym zbiegiem okoliczności, oto wszystko. Lepiej, żeby pani już o tym nie myślała.

Kobieta westchnęła z ulgą.

— A ten... przyjaciel pani córki? Chyba może pani mi teraz powiedzieć prawdę o nim?

— Nie rozumiem pana.

— Proszę pani, pracuję w policji przeszło trzydzieści lat, rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy mi przedstawiali swoje kłopoty. I trudno byłoby mi uwierzyć, że pani przejmując się jakimś znajomym córki sprzed sześciu lat!

— To prawda — szepnęła kobieta.

— A więc kto jest tym mężczyzną na fotografii? Znał może pana?

— Leon, mój zięć. W pierwszej chwili uderzyło mnie podobieństwo... Lecz powinnam była zrozumieć, że moja córka nie mogłaby kochać takiego indywiduum, jak Drawes...

Gdy pani Wagner wróciła do domu, jej córka właśnie nakrywała stół do kolacji. Miała na sobie elegancką suknię z czarnego aksamitu. Leon, w wieczorowym stroju, jak zwykle zajmował miejsce gospodarza.

— Przeprowadziliśmy jeszcze różne badania — odpowiedział porucznik, unikając wzroku pani Wagner.

W tym momencie wszedł do przedpokoju Leon. — Czego paniowie sobie życzą? — zapytał. Meadows wysunął się do przodu.

— Willie Drawes, aresztując pana.

Za chwilę pokazała się Mabel. — Co się stało, mamo?

— Mabel, kochanie... — Pani Wagner wyciągnęła rękę, aby objąć córkę, lecz porucznik szybko je rozdzielił.

— Także i pani Drawes musi iść z nami. — Potem zwrócił się do pani Wagner. — Przykro mi bardzo. Lecz oni oboje przez pięć lat pracowali razem, jako przestępcy. A potem uciekli na wschód.



Fot. W. Parys

— Niezupenie.

— Nie! — zaczęła pani Wagner. — Tylko on jest przestępcą. To jego fotografię widziałam w albumie!

— Dobrze, że to mężczyzna porwał pani torebkę — rzekł policjant. — Jakiś szok przeżyłaby pani przy oglądaniu albumu kobiet...

— Tak, poruczniku, Leon jest w domu... Dlaczego? Co się stało?

A.S.



## Lewym okiem

### SUROWE RAKI

Wyspa Guam na Oceanie Spokojnym jest największą wyspą w Archipelagu Marianów. Ma kształt wąskiego śledzia o długości około 45 kilometrów i szerokości od 6 do 12 kilometrów.

Przyglądałem się temu kawałkowi świata na najlepszej, najdokładniejszej z dostępnych map, w naszym Wielkim Atlasie. Widzę kilka kótek oznaczających osiedla do pięciu tysięcy mieszkańców, widzę czerwone kreski dróg, łączących osiedla. Sądząc z mapy — nie ma na wyspie Guam takiego miejsca, które by było oddalone od drogi o więcej niż trzy kilometry, od osiedla — więcej niż 8 kilometrów, od brzegu morza — więcej niż 7 kilometrów.

A teraz wyobraźcie sobie, że o 3 km od drogi, przecięz uczęszczanej, bo inaczej by jej po prostu nie było, siedzi w lesie przez dwadzieścia osiem lat czło-

wiek, o którym nikt nie wie. Nikt przez cały ten czas nie zboczył o te głupie trzy kilometry, nie zauważył zamieszkałej jaskini, dymu z ogniska, śladów człowieka.

Ten pustelnik ma osiem kilometrów do wioski, gdzie można ukraść choćby najprymitywniejsze przedmioty ułatwiające przeżycie: szmatę, ubranie, siekiere, wyrzuczone na śmietnik kaptcie, byle co do skrzesańca ognia.

Pustelnik jednak traci dwa lata na zrobienie sobie przyodziewku z jakichś tam włókien roślinnych i zamkiem od karabinu rozciera zbyt twarde do pożucia pokarmy. Co to są za pokarmy? O upolowanej zwierzynie nie ma mowy. Co i ile da się upolować na wciąży tym samym, małym kawałku dość gęsto zamieszkałej, niedużej wyspy przez dwadzieścia osiem lat? I czym? Najwyżej jakieś myszy, żaby i czasem na deser szczur. Najłatwiej o raki, bo można je chwycić rękoma. No i zjadać na surowo, popijając źródlaną wodą. Ryba to już luksus, trzeba do niej ze sprętem, choćby najprostszym. Pustelnika zauważyli i schwytali rybacy. Na pewno byli tu przez te wszystkie lata mnóstwo, razy, zastawiali sieci, które samotny mieszkaniec lasu mógł podwędzić. Ale on wołał raki, żeby nie zdradzić swego tutaj pobytu.

Robinson, tamten klasyczny, to magnat wobec Japończyka Jokoi. Miał stado oswojonych kóz, które doł, zabijał, smażył i wędził. Miał pole zasiane owsem, z którego piekł prawdziwe placki. Miał strzelbę z niewyczerpanym zapasem naboju, siekiery i noże z rozbitego statku, wielki wybór świeżutkich owoców. Miał całą bogatą wyspę do własnej dyspozycji, mógł żyć jak hrabia. Jokoi siedzi skulony w wygrzebanej dziurze, otoczony w niedużym promieniu

ludźmi, którym się nie chce pokazać, wiecznie przestraszony. Zachowuje się nie jak rozbitek, któremu wszystko wolno, tylko jak najcięższy przestępca, zagrożony nieustannie, ze wszystkich stron, niesławną bo nie żołnierską śmiercią.

To wszystko jest wręcz nie do pojęcia. U nas też są miejsca oddalone o osiem kilometrów od najbliższej wioski i o trzy kilometry od najbliższej drogi. Może siedzi gdzieś jeszcze „nieprzejezdny”, odczłowieczony niedobitek takiej czy innej sławnej dywizji?

W naszym filmie „Eroica” występowała postać polskiego oficera, który w obozie jenieckim wyszukuje sobie kryjówkę nad laźnią i wchodzi do niej na długie miesiące, „uciekając” w ten sposób Niemcom, którzy na próżno szukają zbiega. Ukrytego bohatera — podobno autentycznego — żywią i obsługują oczywiście utajemniczeni koledzy. Skulony, w leżącej postawie, na zimnym stryżku, oficer czuje się wolny! Może nawet jest nim naprawdę, w pewnym sensie. Nie, to nie do pojęcia. To tylko gest, manifestujący własną, rzekomą suwerenność. To niemożliwe, żeby możliwość uczynienia zupełnie pustego gestu była wolnością. Nie przeceniajmy gestykulacji.

Ale abstrahując od motywów i celów, pasjonującym pozostaje pytanie: jak można tak żyć? O Japończyku Jokoi powinno się nakręcić film, bez akcji, bez scen łóżkowych. Niech on tylko pokaże jak żył, jak spał, jadł, mył się, trwał. Robinson przy nim miał jedwabne życie, był absolutnie wolny, tak wolny, że aż miał własnego niewolnika, którego nigdy inaczej niż niewolnikiem nie nazwał. Czekamy na film dokumentalny z wyspy Guam, może łatwiej będzie zrozumieć.

CWIEK